№ 21. Warszawa, dnia 23 (11) Maja 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KASA MIANOWSKIEGO
(1884).

Trzecie Sprawozdanie z czynności komitetu zarządzającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra Mianowskiego uwydatnia smutny fakt, że ogół nasz zamierza postąpić z tą piękną instytucyą tak sumiennie, jak z Towarzystwem muzycznem, które z początku ledwie mogło zdążyć w przyjmowaniu uczestników a dziś ledwie może ze szczupłej ich garstki wyżebrać opłatę. Już w r. 1883 na 100 członków Kasy *60* nie opłaciło składek; w roku ubiegłym stosunek ten wzrósł jeszcze o 10% przeszło, gdyż na 100 nie opłaciło 71. Jeżeli tak dalej pójdzie — to Kasa będzie musiała zasilać się głównie procentami od zapisów i kapitału zakładowego. Naturalnie pieniądze te wystarczą na kilka pożyczek i zapomóg, ale malejące zasoby sprowadzą do drobnego znaczenia instytucyę, która przy narodzinach swoich zapowiadała się świetnie, której rozwój, oparty na żywotnych interesach i potrzebach społeczeństwa, wydawał się niewątpliwym i pożądanym. Jestże to przecie jedyna opiekunka i dobrodziejka „osób pracujących na polu naukowem" bez dostatecznych środków, ona sama musi wynagradzać brak wielu innych. Uzyskanie sankcyi dla jej statutu kosztowało wiele starań i było jedną z najważniejszych zdobyczy naszego życia. Zdawało się więc, że owa Kasa dozna szczególnego poparcia. I doznała — dopóki nie przestała być modną, to jest dopóki nie uległa temu losowi, któremu u nas podlegają najpoważniejsze przedsięwzięcia na równi z krynolinami i grzywkami. Ze 100 członków dziś 70 nie płaci składek! *).

Na szczęście Kasa Mianowskiego jest przedmiotem zacnej pamięci jednostek, składających jej wspaniałomyślne dary. W roku zeszłym znowu zmarły Jakób Natanson zapisał jej testamentem 30,000 rs. „Co lat cztery — mówi on w ostatniej swej woli — mają być udzielane z procentów od powyższej sumy dwie nagrody za dwie największej wartości prace naukowe, w ciągu ostatnich lat czterech przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonych dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone. Jedna z tych nagród przeznaczona być ma za najlepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a druga za takąż pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych."

Z wykazu pożyczek i zapomóg występuje charakterystyczne zjawisko, że głównie, niemal wyłącznie korzystają z nich przyrodnicy (między nimi matematycy i lekarze). Jest to poniekąd uderzającem, że nasi młodzi filozofowie, historycy i prawnicy nie uciekają się pod skrzydła Kasy, zwłaszcza, że o własnych siłach występują tak rzadko.

Ciekawem było pytanie, czy też dłużnicy Kasy będą jej spłacali pożyczki? Otóż z przyjemnością zaznaczyć winniśmy, że niektórzy z nich wnieśli swoje raty. Rzetelność jest tu podwójnie konieczną: nie uszczupli środków instytucyi i nie wytworzy zgubnego zwyczaju nadużywania jej wiary. Pragnęlibyśmy, ażeby każdy z pożyczających nie lekceważył swoich względem niej obowiązków. Rewers w ręku lichwiarza jest groźniejszy, ale powinność zwrotu grosza publicznego — świętszą.

Jednem z głównych działań Kasy były zapomogi dla wydawnictw, pokrywane z rozprzedaży książek. Ponieważ wszakże nie do niej należy inicyatywa w podejmowaniu tych przedsięwziąć, trudno więc ją winić za to, że nieraz przy jej pomocy wychodzą w świat prace bardzo podrzędnej wartości. Przekład Korneliusza Neposa, albo traktatu Kartezyusza, albo nawet roczne katalogi rozumowane z zakresu pedagogii i nauk przyrodniczych — są to wydawnictwa, których użyteczność bardzo czułą ważką da się wykazać, ale które do pierwszych potrzeb naszej umysłowości i literatury nie należą.

Spotykamy w Sprawozdaniu dwie pozycye, z których jedna napełnia nas radością, a druga okrywa wstydem. Między innemi Kasa przyznała zapomogę Baudouinowi de Courtenay, prof. uniw. dorpackiego na pokrycie kosztów wydania 1g-o tomu *Studyów językowych*, i p. F. Jeziorańskiemu (rs. 1,000) jako wsparcie dla *Gazety sądowej*. Pierwsza z tych ofiar daje nauce

*) Przy sposobności winniśmy tu przeprosić kilku naszych abonentów, których składki administracya *Prawdy* przez pomyłkę dość usprawiedliwioną wniosła opóźnione.

wiele — organ lingwistyczny, któregośmy nie mieli i który, sądząc z pierwszego zeszytu, obiecuje wiele. Lingwistów mamy garsteczkę—prawników zastęp; czyż więc nie wstyd dla nich, ażeby jedyna ich *Gazeta* żyła jałmużną Kasy? To jest objaw tak przykry, że podnosimy go bez objaśnień i bez szczegółowego oświetlania obojętności ludzi, którym przecie nie potrzeba tłomaczyć obowiązków obywatelskich.

Wydatki administracyjne Kasy, dzięki p. Kronenbergowi, który jej daje lokal, a zarządowi, który pełni swe w niejednej roli ciężkie obowiązki honorowo — wyniosły rocznie tylko 666. rs. 70 kop. Gospodarstwo więc odbywa się tanio, co tem większą powinno być pobudką dla zasilania środków pożytecznej instytucyi.

Zarząd po śmierci J. Natansona zastąpił go p. Wład. Kwietniewskim i pozostał w poprzednim składzie a pod dawnem przewodnictwem czcigodnego d-ra Chałubińskiego.

ODSZCZEPIEŃSTWO

w kościele „państwa przyszłości.“

Lat temu dzisiaj blizko jedenaście, jak na szpaltach czasopisma *Deutsche Blaetter* ukazała się bezimiennie drobna rozmiarami praca znanego uczonego i byłego ministra austryackiego, mająca na celu wyjaśnienie zasad i dążeń socyalizmu współczesnego. Wydana następnie w odbitce i zaopatrzona nazwiskiem autora, narobiła ona wielkiego hałasu. Dość powiedzieć, że w ciągu szesnastu miesięcy rozeszło jej się 6 wydań, a do dziś przybyło ich jeszcze kilka. Czytelnik domyśli się, że mówimy o *Kwintessencyi socyalizmu* A. Schaeffego, tłomaczonej i na język polski już dwa, czy nawet podobno trzy razy. W dziełku tem poważny uczony, socyolog i ekonomista, a zarazem mąż stanu, uznał nietylko możność, lecz nawet poniekąd potrzebę i prawdopodobieństwo przejścia społeczeństw cywilizowanych do ustroju socyalistycznego, jakkolwiek w dalekiej dopiero przyszłości. Łatwo zrozumieć, że o ile przyznanie to przypadło do smaku wszelkiego rodzaju zwolennikom przewrotu społecznego, o tyle z drugiej strony obuRzyło i przeraziło uprzywilejowanych szczęśliwców tego świata. Ludzie, patrzący na rzeczy bezstronnie a krytycznie, nie podzielali, naturalnie, ani tych obaw, ani radości, lecz, przeczytawszy broszurkę, powiedzieli sobie spokojnie: Morus był również mężem stanu, a napisał *Utopię*.

I oto znów ten sam autor zarówno swym nieprzyjaciołom, jak zwolennikom zrobił nową niespodziankę. Na początku roku bieżącego ogłosił mianowicie książkę, w której wszystkie, tak śmiało zbudowane przed dziesięcioma laty fantazye swoje bez litości w gruzy rozwala i w ostatecznym wywodzie swych rozumowań wypowiada zdanie, że socyalizm nie ma żadnych przed sobą widoków. Świeże to dziełko *) składa się z trzech listów, pisanych jakoby do jakiegoś „męża stanu,“ i ma pozornie być tylko dopełnieniem do wzmiankowanej *Kwintessencyi socyalizmu*, w rzeczywistości jednakże jest bezwarunkowem zaprzeczeniem wszystkich tych idej i poglądów, które stanowiły główną jej osnowę. Napróżno autor stara się w pierwszym liście przekonać swych czytelników, iż źle został zrozumiany, że narzucono mu poglądy, których nigdy za swoje nie podawał. Napróżno twierdzi, że zupełne zniesienie prywatno-kapitalistycznego wytwarzania nie wydawało mu się nigdy możebnem, że pragnął tylko rozszerzenia działalności państwowej na wszystkie te działy produkcyi społecznej, których przedsiębiorczość prywatna nie może wyzyskać z dostateczną dla ogółu korzyścią. Na to zgadzają się oddawna wszyscy ekonomiści, za wyjątkiem przeżytej już dziś szkoły manczesterskiej. Na czemże by więc była polegała oryginalność Schaefflego, za cóżby mu byli socyaliści bili brawo?

*) *Die Aussichtslosigkeit der Socialdemokratie.* Drei Briefe an einen Staatsmann zur Ergänzung der „Quintessenz des Socialismus“ von Dr. Albert L. Fr. Schaeffle, Tübingen, 1885.

Ale zwróćmy się bezpośrednio do źródła—do *Kwintessencyi socyalizmu*. „Zapamiętajmy przedewszystkiem—mówi autor sam—że socyalistyczny system produkcyi musi być z zasady jednolitym... Socyalistyczne państwo urzeczywistni się wtedy dopiero, gdy *wszystkie* środki społecznej produkcyi będą własnością kollektywną;... wtedy tylko dałby się urzeczywistnić dochód proporcyonalny do pracy i prywatna własność artykułów spożycia.“ Ponieważ cała *Kwintessencya* poświęcona jest właśnie dowodzeniu, że owo „socyalistyczne państwo“ jest możebne i pożądane (jakkolwiek w dalekiej dopiero przyszłości), więc widocznie autor zmienił swoje poglądy. Zmienił je też i pod wieloma innymi względami. Tak np. podczas gdy dawniej utrzymywał, iż „*nieprawdą jest*, że socyalizm zasadniczo odrzuca rodzinę i prawo spadkowe, że niweczy samodzielność jednostek... że musi się zmienić w scentralizowany despotyzm państwowy“ itp.—dzisiaj sam mu te zarzuty robi.

Umotywowanej zmiany przekonań nie można nigdy nikomu brać za złe. Owszem, zasługuje to na wszelką pochwałę, gdy ktoś, zamiast bronić obłudnie zdań, w które już sam nie wierzy, dlatego jedynie że je raz wygłosił, ma odwagę publicznie przyznać się do błędu. Niestety jednak Schaeffle nie zdobył się na takie szlachetne poświęcenie miłości własnej dla prawdy i wywraca, jak może, dyalektyczne koziołki, kręci i naciąga swe myśli i zdania, byleby przekonać świat, że stoi twardo przy swojem. Może to w oczach wielu zaszkodzić, bronionej dziś przez niego, sprawie — a szkoda, bo sprawa to dobra!

List drugi poświęca autor naukowej krytyce fantazyj socyalno - demokratycznych. Główną osią tej krytyki, około której obracają się prawie wszystkie inne zarzuty, jest zdanie, że jakkolwiek socyalizm, jeżeli nie jest możliwym praktycznie, to przynajmniej logicznie daje się pomyśleć, lecz o tyle tylko, o ile jego „państwo ludowe“ byłoby zorganizowane w sposób arystokratycznie centralistyczny i pozostawało pod kierunkiem silnej, jednolitej władzy. Państwo socyalno-demokratyczne jest absurdem, niemożliwością. Ponieważ zaś głównem dążeniem socyalizmu i naczelnem jego hasłem jest nieograniczona

---

[1])

BEZ POWROTU.

Pierwszy to raz może, od czasu istnienia Wileńskiego hotelu pokój pod nr. 43 na trzecim piętrze miał stałą lokatorkę przez cały tydzień. Dotąd bowiem przeważnie mieszkały tam myszy, trochę stonogów, much bez liku i wiele innych owadów. Nie oczyszczano go nigdy: po kątach i nad piecem zapas pajęczyny, żółte w czerwone pasy obicie pociemniało od kurzu, zielona sofa i kilka krzeseł wypłowiały oddawna. Zimą piec swędził, latem zaś przez okno, osłonięte tylko tiulową firanką, słońce cały dzień słało się jasną płachtą na zakurzonej posadzce, napełniając izbę zabijającą dusznem powietrzem. Pokój był jakby dalszym ciągiem lokajskiej izby, oddzielony od niej przepierzeniem z desek. Przez drzwi ozdobione szparą dochodził tu zapach tytoniu, nafty i szuwaksu, w nocy zaś słychać było chrapanie czterech drabów śpiących za przepierzeniem, a że bardzo rzadko bywał zajętym, lokaje wysypiali się na łóżku, posiadającem brudny materac i na niby sprężynowej sofie. Mieli tu swoje składy za piecem i w szufladach; tu ukrywano kontrabandę, w postaci butelek z piwem, bochenków chleba, i innych zapasów zdobywanych u gości lub w bufecie. W każdym hotelu jest taki pokój; na dochód z niego właściciele liczą tylko podczas wielkich zjazdów; zwykle zaś zostaje w rezerwie dla gości najskromniejszego gatunku, nie mających prawa do wygód, jakoteż do nocnej ciszy i świeżego powietrza. Służba lekceważy takich gości: lokator z trzeciego piętra—to żadna „persona,“ w najlepszym razie trzeba go pilnować, żeby nie zemknął przed zapłaceniem rachunku, zwłaszcza kiedy rzeczy ma niewiele.

Pani, pokutująca od tygodnia w dusznym pokoju, miała tylko jeden kuferek, obity szarem płótnem, i skórzany woreczek; wyglądała za to wcale nieźle: lokaje spotkawszy ją na korytarzu, oglądali się przez ramię, czasami stawali, żeby zobaczyć, jak zejdzie ze schodów. Nawet stary Michał, co już przez czternaście lat służył starszym lokajem i znał się na gościach jak na trunkach, w pierwszej chwili oszukał się na niej. Gdy przyjechała, sam wyniósł jej tłomoczek z dorożki i z początku chciał nawet do pańskich numerów prowadzić. Wyglądała bardzo pokaźnie: wysoka, cienka, z czarnemi włosami i białą twarzą; odzieży rozejrzeć nie mógł, gdyż przybyła wieczorem; dostrzegł tylko białą woalkę i rękawiczki duńskie, pachnące. W mgnieniu oka zrozumiał, że należy pomieścić ją w numerze na pierwszem piętrze, w pokoju o dwóch oknach z balkonem i aksamitnymi meblami, tam, gdzie onegdaj stała generałowa, a skąd przed godziną wyjechał stary pan kaszlący, który dał mu trzy ruble na piwo. Wprawdzie po panu nie wszystko jeszcze uprzątnięto: na balkonie pozostał stolik z pustemi butelkami od selcerskiej wody, w pokoju — mnóstwo niedopalonych papierosów, ale — cóż począć! Wszystkie paradne numery zajęte, a Michał wprzód by sobie nogi połamał, niż taką elegancką panię śmiałby na wyższe piętro prowadzić. Z tłomoczkiem w ręku szedł przed nią cicho, drobnymi kroczkami —jak chodzą koty i bardzo usłużni lokaje. Na pierwszem piętrze zatrzymał się i już miał wskazać drzwi, gdy ona przemówiła pierwsza, rozkazując nieść tłomoczek na trzecie piętro do najtańszego numeru. Zdziwiony, postawił kuferek i odrzekł głosem pierwszego lokaja:

— Najtańszy numer? Jest i najtańszy! Trzeba było mówić na dole! Zaraz... ja powiem, żeby wskazali! Ej, Piotr — a chodźno tu!

Nie czekając Piotra, zbiegł ze schodów, gdyż w tej chwili spostrzegł nowego gościa, który mu odrazu przypomniał trzy ruble, otrzymane od starego pana; wyglądał bowiem bardzo porządnie: niemłody, chudy, wysoki, na głowie miał ryżowy kapelusz, objęty czarną wstążką, złote okulary na nosie, przez plecy skórzaną torebkę, a w rękach elegancki worek podróżny. Trzech lokajów stało już koło niego, ale Michał wszystkich uprzedził, bo znał się na ludziach.

Opuszczona kobieta wzruszyła ramionami obojętnie; lokajska niegrzeczność mało

wolność, a nadewszystko zupełna równość wszystkich członków społeczeństwa, więc socyalna demokracya nie ma żadnych przed sobą widoków osiągnięcia wymarzonych przez nią, ideałów. Łatwo zrozumieć, że owa „logiczna przypuszczalność“ scentralizowanego socyalistycznego państwa tkwi u Schaefflego jedynie w chęci zamaskowania zmiany dawnych przekonań. Boć i przed napisaniem *Kwintessencyi* nie mógł on nie wiedzieć, że zaprowadzenie produkcyi kollektywnej nie jest bynajmniej *celem* socyalizmu, lecz że ma ono jedynie służyć za *środek* dojścia do właściwego celu, a mianowicie: zupełnej wolności i równości wszystkich członków społeczeństwa. Po cóż więc było durzyć ludzi, że ideały socyalizmu są możliwe do osiągnięcia, byleby tylko w „państwie przyszłości“ określano wartość produktów, nie jedynie według ilości czasu, poświęconego na ich wytworzenie, jak tego miał niby pragnąć Marks, lecz zarazem według ich społecznej użyteczności?

Wreszcie, nawet pod silnym centralistycznym rządem nie wydaje się już dziś Schaefflemu rzeczą przypuszczalną, żeby wszystkie dziedziny produkcyi mogły być prowadzone na zasadach kollektywizmu. Wyłącza on najprzód z granic możliwości zapanowania tego systemu sztuki, usługi osobiste i to z pomiędzy rzemiosł, które z natury swej nigdy nie będą mogły być prowadzone w sposób fabryczny, a wreszcie i nadewszystko—uprawę ziemi. Bagatela! Nieprawdaż? „Stan włościański— mówi autor—będzie i musi być utrzymanym. O jego antykollektywistyczną czaszkę i ramię jego synów w mundurze żołnierskim rozbije się socyalna demokracya po najbardziej nawet zwycięskich rewolucyach!“

Nie mogę tutaj przedstawiać dokładnie wszystkich zarzutów, jakie autor stawia wykonalności rozmaitych socyalistycznych obiecanek, nadmienię tylko jeszcze co do krytyki fantazyj czysto ekonomicznych, iż bardzo zasadnie dowodzi on, że i w „państwie przyszłości“ niepodobna by było zapobiedz przesileniom ekonomicznym, oraz wyzyskiwaniu jednych przez drugich. „Przy ilościowej kontroli czasu roboczego, przy oznaczaniu „pracy normalnej,“ przy zamianie rachunkowej pracy intensywnej na ekstenzywną mogłyby zachodzić tak niepiękne wydarzenia, że „kapitalista— upiór“ Marksa w porównaniu z socyalistycznymi pasibrzuchami, oszukiwaczami ludu i próżniakami większości (*Majoritaetsfaulenzer*) przedstawiałby jeszcze bardzo szanowną figurę.“

Z pomiędzy dążeń socyalistycznych, wychodzących po za granice dziedziny czysto gospodarczej, zwalcza autor głównie zachcianki zniesienia rodziny i wszelkiego kultu religijnego.

Najciekawszą część rozbieranego przez nas dziełka przedstawia największy rozmiarami list trzeci, zajmujący się skreśleniem pozytywnych środków zwalczenia socyalizmu. Dotyka w nim autor zbyt wielu przedmiotów, by na kilkudziesięciu zaledwie stronnicach mógł projekty swoje zarysować dość dokładnie i dostatecznie je uzasadnić. Pomimo to jednak wiele z pomiędzy nich musi sobie pozyskać sympatyą czytelnika; wreszcie, przeważna ich część nie stanowi bynajmniej nowości w pomyśle, niektóre zaś poczęły już od dość dawna wchodzić w życie w państwach zachodnio-europejskich.

Przedewszystkiem podnosi autor potrzebę ochrony pracy przed przewagą kapitału. Ochronę tę winno państwo świadczyć robotnikom z jednej strony przez trwałe zapewnienie im wszystkich tych wolności, które już poniekąd wywalczył dla nich liberalizm, a nadewszystko zupełnej swobody stowarzyszenia się tak w celach produkcyi, jak walki o podniesienie płacy— z drugiej—przez prawodawcze określenie normalnego dnia roboczego, ustanowienie surowych kar za wszelkiego rodzaju nadużycia ze strony kapitalistów, utrzymywanie inspektorów fabrycznych, którzy by mieli pieczę, nad hygienicznem urządzeniem warsztatów i mieszkań robotniczych, nad zabezpieczeniem robotników od nieszczęśliwych wypadków w czasie pracy itp. Ponieważ robotnikom wiejskim daleko trudniej jest, niż miejskim, stowarzyszać się i bronić własnemi siłami swoich interesów, więc radzi Schaeffle zakładać w celu ich ochrony towarzystwa, któreby wszelkie, dochodzące do nich skargi postarały się zbadać dokładnie i w razie słuszności zażalenia, postawiły winnych przed sądem opinii publicznej. Myśl to bezwątpienia piękna i szlachetna, chociaż, niestety, trudna dziś jeszcze bardzo do wykonania.

Za najdzielniejszy środek podniesienia płacy roboczej uważa autor politykę kolonialną, popierającą wszelkimi sposobami wychodźtwo nadmiaru sił roboczych z kraju, i zakładanie osad rolnych w posiadłościach pozakrajowych. Tym sposobem pozbywałoby się zarazem społeczeństwo najniebezpieczniejszych rekrutów kollektywistycznego „państwa przyszłości,“ którzy, doszedłszy do własności w koloniach rolnych, stawaliby się zapalonymi indywidualistami. Obok popierania emigracyi radzi zaprowadzenie przymusowych kas korporacyjnych wzajemnej pomocy, wspierania niezdolnych do pracy i ubezpieczenia robotników przeciwko przesileniom. Myśl ta wydaje nam się bardzo dobrą i praktyczną. Przymusowe bezrobocia stanowią najcięższą plagę ludu roboczego. Zarówno dane statystyczne, jak i fakty, przed naszemi oczami zachodzące, przekonywają, że z biegiem postępu cywilizacyi, reformy przestarzałego prawodawstwa i rozwoju ekonomicznego, położenie klasy robotniczej stale i niezaprzeczenie, acz powoli i może nie dość powszechnie (mam na myśli najniższą warstwę robotników, używanych do przenoszenia ciężarów itp. prostych robót) się poprawia. Bajanie socyalistów o jakiemś fantastycznem „żelaznem prawie,“ utrzymującem stale płacę roboczą na najniższym poziomie potrzeb koniecznych, jest bzdurstwem, nie wytrzymującem krytyki. Pomimo to jednakże miliony pracowników z niższych warstw społecznych nie mogą się czuć zadowolonymi, nie będą mogły patrzeć spokojnie w przyszłość dotąd, dopóki państwo nie zabezpieczy ich od strasznych skutków losowej utraty zarobku. Najlepszą do tego drogą wydaje mi się projekt przymusowych kas ubezpieczenia, o których mówi Schaeffle i które coraz więcej zyskuje sobie zwolenników. W Anglii istnieją już tego rodzaju instytucye prywatne przy niektórych stowarzyszeniach robotniczych, i przebyły już one zwycięsko ciężkie próby. Na coś podobnego jednakże nie może się nigdy zdobyć ogół robotników, złożony w znacznej części z ludzi ciemnych i nieprzewidujących. Potrzebie tej więc po-

---

ją obeszła; zabrała tłomoczek i, nie czekając na Piotra, miała iść dalej, gdy obejrzawszy się, spostrzegła przybyłego jegomościa.

— Głupi szlagon — mruknęła przez zaciśnięte zęby, eh, pal go licho!

Uwagi to dziwnie odbijały od pięknej twarzy i wytwornych ruchów.

W pierwszej chwili nie umiałaby powiedzieć, czy ją obraziła natrętność przybyłego, który widocznie w ślad za nią przyjechał do tego hotelu, czy też, że dalej nie mogła grać przed nim roli zamożnej kobiety. Przez pół doby jechali razem w wagonie drugiej klasy, a chociaż rozpoczęła całym przedziałem, powtórzył kilkakrotnie, że tu jej pewnie niewygodnie być musi? Z początku śmieszyły ją te pańskie pretensye, chciała wyznać, że dopiero pierwszy raz w życiu jedzie tak wygodnie, ale gdy zaczął otaczać ją ojcowską troskliwością, przybrała minkę pieszczoszki, i wdzięczną mu była za okazywane względy. Każda kobieta jest wdzięczną temu, kto potrafi okazać, że ona tylko do złotych ramek stworzona. Przypomniała sobie, że spotkała go raz na wieczorze, kiedy przyciśnięta biedą najęła się do grania w jakimś zamożnym domu; on jej nie poznał, i bardzo dobrze. Mogła udawać wielką damę. Korzystała z usług i miłego towarzystwa, bo on wysilał się na urozmaicenie rozmowy, z natężoną uwagą słuchał każdego jej zdania, a w ruchach łączył powagę opiekuna z wdziękiem grzecznego światowca. A jak ją śmieszył chwilami. Pomimo upału przez cały dzień nie zdjął kapelusza, gdyż był łysy i miał tylko trochę szpakowatych włosów, przylepionych do spotniałych skroni i za uchem. Z oczu patrzyła mu pięćdziesiątka, nogi stawiał sztywnie i pokaszliwał; wiózł za granicę, jeśli nie całkowitą podagrę, to przynajmniej chorobę mlecza, albo suchoty; mówił jednak, że jedzie dla przyjemności jedynie, dla powietrza, rozrywki; uśmiechał się przytem i mrużył oczy, jakby w myślach snuł dalsze bardzo rozkoszne projekty. Mówił przyjemnie, miękkim głosem salonów i buduarów; kaszlał nawet z pewną elegancyą, a zawsze potem spoglądał na nią, jakby przepraszając za nieprzyzwoitość. Miał z sobą kosztowny pled, sprężynową poduszkę, palił wyborne cygara, a każdy ruch, każde słowo zdradzało w nim sybaryte, który dotąd jechał przez życie w wagonie przynajmniej drugiej klasy.

Musiała przecież dostroić się choć w części do tak znakomitego towarzystwa. Nakłamała mu też sporo o sobie niby odniechcenia. Czy wierzył — trudno zgadnąć. Zanadto znał ludzi, żeby nowa woalka i świeże rękawiczki przy bardzo zużytem ubraniu mogły go w pole wyprowadzić. Stawał się coraz grzeczniejszym, w końcu kupił nawet duże pudełko cukierków; przyjęła tylko jeden, ale gdy odszedł w drugi koniec wagonu, żeby wypalić cygaro, schrupała kilkanaście największych, gdyż jeść się chciało, a na kupienie obiadu nie miała pieniędzy. Wszystko to uszłoby jakkolwiek; najgorzej, że podjeżdżając do dworca, wyrzekła największe kłamstwo. Ciepły wieczór czerwcowy wywołał na platformę dużo publiczności, otóż wtedy jednym poważnym mężczyźnie z laską o złotej gałce poznała swego ukochanego wuja, który przybył na jej spotkanie. Przesłała mu nawet przez okno całusa na końcach paluszków. Szczęśliwą była, że go uściśnie za chwilę, śmiała się przy tem, pokazując prześliczne ząbki. Oh, bo ten wujaszek to oryginał! Opowiedziałaby o nim tysiące anegdot, szkoda, że niema czasu.

Pożegnała towarzysza serdecznie, pewna, że się spotkają zaledwo na Józefatowej dolinie. Tymczasem ujrzała go w kwadrans potem, gdy szła z tłomoczkiem na trzecie piętro do najtańszego numeru. Pewną była, że uśmiechnął się złośliwie, jego wązkie usta stworzone do złośliwych grymasów, widziała, jak mrugnął na nią znacząco. Czyżby więc przez całą drogę studyował w niej tylko niezbyt zręczną aktorkę?

— Eh, pal go licho! — powtórzyła raz jeszcze. Co mię ten facet obchodzić może!

Najenergiczniejszy wykrzyknik niezdolny jest zabić wewnętrznego niezadowolenia. Zła była na siebie za ten fałsz przeklęty, który naraził ją na wstyd i upokorzenie. Pozostało jej to z owych czasów, kiedy obracała się w wytwornem kółku i przed bogatszemi kobietami musiała ukrywać swój niedostatek. Ależ w ostatnich latach biedy i poniewierki, zdawało jej się, że już machnęła ręką na wszystko, że już

winno zadośćuczynić państwo przez ustanowienie przymusu i powołanie wszelkiego rodzaju kapitalistów i przedsiębiorców do współudziału w zasilaniu funduszami kas w mowie będących. Zabezpieczony w ten sposób raz na zawsze od głodowej śmierci, robotnik nie dawałby z pewnością posłuchu socyalistycznym agitatorom, którzyby mu obiecywali kanarka na dachu wzamian za wróbla w garści.

Schaeffle jednak nie poprzestaje na wzmiankowanym wyżej projekcie ubezpieczenia robotników i chciałby jednym zamachem usunąć i same przesilenia. W tym celu proponuje, ażeby wszystkie kontynentalne państwa Europy, lub na początek przynajmniej Niemcy, Austrya i Rosya, zawarły z sobą związek celno-podatkowo-handlowy, i wspólnemi siłami broniły się od konkurencyi zamorskiej a nadewszystko azyatyckiej, która, z powodu drożyzny na tamtejszych rynkach kruszców szlachetnych i niskich skutkiem tego cen towarów i płac roboczych, ma grozić zagładą przemysłowi europejskiemu. Dla zapobieżenia przesileniom pieniężnym domaga się on zaprowadzenia jednostajnego systemu monetarnego na podstawie bimetalizmu. Myśl wspomnianego związku trzech cesarstw rzucona jest zbyt ogólnikowo, ażebyśmy ją mogli poddać bliższej krytyce. Dość jednakże przypomnieć sobie, że zdaniem samego autora nawet w socyalistycznem państwie niepodobna by było zapobiedz zupełnie przesileniom, żeby się przekonać, iż świeżo nawrócony na drogę rozsądku, były obrońca utopijnych mrzonek, nie nauczył się jeszcze dostatecznie hamować swej bujnej fantazyi.

W dalszym ciągu rozumowań dotyka Schaeffle ważnej sprawy rozpowszechnienia własności wśród klasy roboczej tak, żeby każdy, najbiedniejszy nawet pracownik posiadał jakiś zasób mienia, który mógłby nazwać swoim. Ze sprawą tą łączy się bezpośrednio kwestya ochrony od upadku stanu włościańskiego i ułatwienia proletaryuszom nabywania ziemi. O instytucyach, dążących do tego celu, pisał autor obszernie w dwóch cokolwiek dawniejszych pracach: *Die Inkorporation des Hypothekarkredites i Hülfskassenzwang*, dlatego w rozbieranej przez nas broszurze bliżej swych projektów w tym względzie nie wyłuszcza.

Co do systemu podatkowego oświadcza się stanowczo za podatkami bezpośrednimi, domagając się jednak wyjątku od tej ogólnej zasady dla wszelkich przedmiotów zbytku, do których wbrew przeciwnym twierdzeniom Bebla, zalicza też tytoń i napoje spirytualne—te ostatnie, zdaniem mojem, z zupełną słusznością. Zgadzając się na podatek spadkowy od wielkich majątków, odrzuca Schaeffle jego postępowość. Trudno zrozumieć tę niechęć dla tak sprawiedliwej i ogólnie uznanej zasady, zwłaszcza, że autor zupełnie jej nie uzasadnia.

Załatwiwszy się w ten sposób z najważniejszemi potrzebami reformy na polu ekonomicznem, przechodzi Schaeffle do spraw wychowania i oświaty. Przedewszystkiem zwraca w tym kierunku uwagę na przeciążenie obowiązkami kobiet—robotnic, które po za pracą zarobkową i zajęciami domowo-gospodarskiemi muszą jeszcze dźwigać cały ciężar obowiązku wychowawczyń i dozorczyń chorych. Na złe to można w znacznej części i należy zaradzić przy pomocy rozszerzenia takich instytucyj, jak żłobki, ogródki freblowskie, ochrony, szpitale, szkoły zawodowe itp.

Mówiąc o szkołach ludowych rzuca autor piękną myśl, ażeby wybrani drogą konkursu najzdolniejsi uczniowie, tak szkół zawodowych, jak ogólnych, byli oddawani do wyższych zakładów naukowych kosztem publicznym. Pożytek, jakiby tacy ludzie następnie społeczeństwu przynieśli, opłaciłby stokrotnie, poniesione na ich kształcenie, wydatki. Sfery możne i rządzące powinnyby dla powyższej myśli zjednać bodaj ta praktyczna uwaga autora, że takim sposobem pozbawiłoby się niezadowolonych najzdolniejszych przywódców.

Na tem kończymy sprawozdanie z rzuconych przez Schaefflego projektów reformy. Większość ich, jak widzieliśmy, nie jest bynajmniej nowością, lecz nie mówi to bynajmniej na ich niekorzyść. Przeciwnie—upewnia nas to, że nie są one mrzonkami. Zasługę autora stanowi to, że zebrał je razem, ożywił jedną myślą przewodnią i przeciwstawił zachciankom stronnictwa przewrotu społecznego. To, że niegdyś sam tych niedorzeczności bronił, nadaje tem większą wagę dzisiejszej jego krytyce, gdyż nie pozwala go pomówić o złą wolę i stronniczość.

Nakoniec, winniśmy jeszcze dodać, że kreśląc swe projekty i wykazując potrzebę tak wielu reform społecznych, Schaeffle nie łudzi się bynajmniej, ażeby one wszystkie mogły wkrótce, lub tembardziej — odrazu wejść w życie. Trzeba na to będzie długiego czasu, zwłaszcza, że nie wyczerpują one jeszcze, bezwątpienia, wszystkiego, coby dla poprawy opłakanej doli niższych pracowników społecznych zrobić należało.

W. Wścieklica.

MIKOŁAJ KOSTOMAROW.

(Wspomnienie pośmiertne).

II.

Kostomarow pobieżnie opisuje pierwsze lata panowania Stanisława Augusta, zwracając tylko szczególną uwagę na sprawę dysydentów i położenie religijne i polityczne ludu ruskiego w Polsce. Chociaż jednak wchodzi w drobne szczegóły, nie można powiedzieć, żeby przedstawienie tych wypadków było dokładnemi wiarogodnem. Co najmniej ryzykownem nazwać można twierdzenie, że wszyscy uczestnicy konfederacyi radomskiej przystępowali do niej po pijanemu i nie wiedzieli zgoła, o co chodzi, żaden zaś z nich na trzeźwo nie zgodziłby się przyznać praw pogardzanym heretykom. Niewątpliwie w zawiązaniu konfederacyi szło bynajmniej nie o ideę tolerancyi, ale o względy partyjne; nie znaczy to jednak, by jej uczestnicy nie wiedzieli, o co chodzi. Opowiadania o pijatyce na sejmikach i zebraniach, zresztą zgodne z prawdą, są zupełnie na miejscu wtedy, kiedy autor maluje obyczajową stronę dziejów, ale nie mogą służyć do objaśnienia faktów historycznych.

Niewiarogodną również jest wiadomość, że biskup Sołtyk zamyślał urządzić kopię „nieszporów sycylijskich“ (chyba raczej nocy św. Bartłomieja) i wymordować wszystkich różnowierców.

---

nie dbała o ludzi, a z głupich pretensyj i przywilejów śmiała się oddawna. Tymczasem jakiś cherlawy „facet“ wywołał w niej odrazu wszystkie zapomniane przyzwyczajenia, pozowała przed nim na wielką panię, kłamała, nie przeczuwając, że on drwi z niej w duchu.

— Dyabła zje ten, kto mię choć raz jeszcze ujrzy w tak głupiej roli. Dość już! Choć raz będę mogła być sobą... Oh, jakie to szczęście!

Pewną była, że dawno już wyrosła z wszelkiej próżności, ajednak gdy wszedł lokaj z zapytaniem o pasport i jakie nazwisko ma zapisać na tablicy pod 43 numerem, odrzekła z odcieniem dumy:

— Anna Lipska, doktorowa z Warszawy.

Chociaż o tytuł nikt ją właściwie nie pytał.

W hotelu zamierzała przebyć parę dni; pomimo to, szczupły zapas pieniędzy niepokoił ją trochę. Po obliczeniu okazało się, że ma cztery ruble i kilka srebrnych monet; na opłacenie mieszkania wystarczy, z jadłem trzeba być ostrożną. A tu głód dokuczał. W drodze piła tylko herbatę z ciastkami; za te pieniądze mogła zjeść kawałek mięsa z chlebem; zrobiłaby to, żeby jechała sama; wobec towarzysza zajadającego zwierzynę, nie śmiała okazać się oszczędną, lub biedną; wolała udawać, że w drodze nie jada wcale, że brak ruchu odbiera jej apetyt. Teraz za to kazała sobie przynieść porcyę kotletów, i to ją podniosło w opinii lokajów; zwykle bowiem goście z tego numeru jadali na mieście, a tylko czasami kazali podawać sobie herbatę. To też lokaj okazał się dla niej względniejszym: przyniósł karafkę wody i zapytał, czy będzie potrzebowała pościeli. Przyjezdni kupcy, biedna szlachta, nocująca od czasu do czasu w tym pokoju, sypiali w ubraniu, podłożywszy pod głowę paltot lub futro, a tylko ogródkowa śpiewaczka, mieszkająca tu przez dni kilka, potrzebowała prześcieradła, poduszki i kołdry. Stąd też lokaj powziął myśl, że i ta niby doktorowa musi być czemś w rodzaju śpiewaczki, kiedy potrzebuje pościeli. Nie miał uprzedzenia do artystów: owszem, tamta, wyjeżdżając, dała mu parę złotych, częstowała nieraz piwem i winem, znalazł po niej pół butelki koniaku i kawałek szwajcarskiego sera.

— Mało gości zostawia po sobie takie smaczne pamiątki. Ta wprawdzie jest młodszą i ładniejszą, wódki może jeszcze nie pije, może i nie aktorka, ale pewno nic osobliwszego; ceremonij tam wielkich robić z nią nie należy, karafka wody powinna wystarczyć na cały pobyt, chyba że się zna na grzeczności i nie przyjmie reszty przyniesionej z kotletów. Nie przyjęła! Tym sposobem zaskarbiła sobie w zupełności względy lokaja. Ile razy spotkał ją na schodach, ustępował z drogi, czekał wyprostowany nim przejdzie; widywał ją codzień wracającą z miasta z bukietem róż i jaśminu: kwiaty były tanie w tej porze; po kotlety jednak nie posyłała więcej — to głupio! musi jadać na mieście.

W istocie zaś żyła mlekiem i herbatą Pobyt w hotelu przedłużył się nadspodziewanie, z największym niepokojem zmieniała rubel za rublem; dziś w portmonetce było już tylko kilka złotych, gdy listonosz wręczył jej następujący bilecik:

„Z przyjemnością dowiedziałem się, że Pani jesteś w mieście; służący mówił, żeś zapytywała kilkakrotnie o dzień mego powrotu; serdecznie wdzięczny jestem za pamięć, jako stary przyjaciel zasłużyłem na nią. Czekam między siódmą a ósmą. Wybacz Pani, że sam do Ciebie przyjść nie mogę; dziś zaledwo wróciłem z podróży — stare kości potrzebują wypoczynku.“

Na drugiej stronie biletu wydrukowano gotyckiemi literami: Jan Gilewicz — adwokat. Odetchnęła.

Wrócił nareszcie! Raz przecie skończy się to więzienie w dusznym pokoju, głód i wszelkie niedogodności.

Odczytała bilet raz jeszcze:

— Hm, „z przyjemnością dowiedziałem się...“ Niby nie wiedział, że przyjadę. Pewną jestem, że ten stary szachraj zamyśla okpić mię trochę. Sądzi może, że jestem dawniejszą lalką, która tyle się zna na interesach ile pies na skórze. Ho, ho, niech darmo zębów nie ostrzy! Zresztą niech go tam! Trzeba będzie „staremu przyjacielowi“ posmarować łapy, byleby prędzej skończyć całą sprawę.

(D. c. n.).

Ostoja.

Ubolewania nad prześladowaniem dyzunitów uważać można za zbyt przesadzone, a już stanowczym błędem jest przypisywanie go wyłącznie fanatyzmowi religijnemu. Kostomarow sam przytacza mnóstwo przykładów świadczących, że członkowie wyższej hierarchii duchownej i zakonnicy dyzuniccy byli czynnemi narzędziami propagandy politycznej. Stojąc wyłącznie na stanowisku rosyjskiem, uważać on może Melchizedecha Jaworskiego albo Sadkowskiego za patryotów pełnych poświęcenia, ale nie powinien zapominać, że dla rządu polskiego ludzie ci, intrygujący na rzecz obcego mocarstwa i podburzający ludność do buntu byli świadomymi zdrajcami. Nie surowość więc ale owszem pobłażliwość zbytnia polaków w danym wypadku zasługiwać może na potępienie.

Po pierwszym rozbiorze państwa sąsiednie, według Kostomarowa nie przeszkadzały bynajmniej polakom wytworzyć państwa „dobrze urządzonego,“ nie pozwalały tylko na utworzenie państwa silnego. Frazesu tego niepodobna zrozumieć, bo dotychczas siła rządu uważaną była za jeden z koniecznych atrybutów „dobrze urządzonego państwa.“ Mniejsza zresztą o to, ważniejszem jest twierdzenie, że polacy podczas kilkunasto-letniego okresu pokoju „nic nie zrobili dla odrodzenia ojczyzny.“

Kostomarow nie uznaje postępów, jakie zrobiło w owym czasie wychowanie publiczne; przyznaje, że poczyniono dosyć rozległe reformy, ale nie przypisuje im wielkiego znaczenia. W szkołach panowały jeszcze rózgi i nahajki. Pomijając stosowanie tego drugiego instrumentu, który jest późniejszym nabytkiem cywilizacyjnym, owa chwalona lub potępiana surowość wychowania polskiego przejawiała się raczej w zasadzie, aniżeli w wykonaniu praktycznem, co zupełnie jest chyba zrozumiałem wobec dobrodusznego charakteru narodu, który sam nawet Kostomarow niejednokrotnie zaznacza. Historyk rosyjski czyni wychowaniu ówczesnemu drugi jeszcze zarzut: niepotrzebne rozbudzanie uczuć, które sprawiło, że polacy dbali więcej o odzyskanie powagi zewnętrznej aniżeli o wewnętrzne przekształcenie i odrodzenie społeczne kraju.

Zarzut ten, jak nadmieniliśmy wyżej, jest zupełnie niesłusznym i uczynić go może jedynie historyk, który sąd swój opiera nie na zbadaniu wypadków.

Każdemu, kto interesował się dziejami upadku Polski, wiadomo, że przeciąg czasu od pierwszego rozbioru do sejmu czteroletniego jest właśnie okresem pracy twórczej, pokojowej naprawy Rzeczypospolitej i że konstytucya 3 maja jest tylko uwieńczeniem tej roboty długoletniej. Nawet osławiona Delegacya wstąpiła odrazu na drogę reform, które szły powoli, ale jednak z zwiększającą się co rok szybkością, wbrew nieprzyjaznym warunkom, z którymi trzeba się było rachować. Prace Komisyi edukacyjnej, usiłowania poprawy finansów, ożywienie literatury, zwłaszcza politycznej, najlepiej świadczą o tem.

W pierwszym roku sejmu czteroletniego dochody Rzeczypospolitej wynoszą 21 milionów (nie zaś 18, jak chce Kostomarow). Niewiele to w porównaniu z innemi państwami, ale bardzo dużo w porównaniu z tem, co było przed 20 laty.

Wszystkie te usiłowania organizacyjne Kostomarow pozostawia na drugim planie. O literaturze ekonomicznej nie mówi wcale, z pism dotyczących sprawy miast i włościańskiej przytacza tylko niektóre, nie nadmieniając wcale o znacznej liczbie tego rodzaju broszur. A jednak ta ostatnia okoliczność świadczy, że dążenia reformacyjne znajdowały oddźwięk w społeczeństwie. Według zdania jego polacy myśleli jedynie o odbudowaniu potęgi państwowej, lecz gdyby to nawet im wtedy udało się, gmach cały przegnity až do podstaw sam runąłby niezadługo.

Gdyby historykom poważnym wolno było bawić się w oskarżanie przeszłości, sądzę, że wyraziliby wręcz przeciwne zdanie. Najważniejszym błędem ówczesnego pokolenia było właśnie owo zupełne oddanie się działalności reformatorskiej i niezwrócenie należytej uwagi na niebezpieczeństwo zewnętrzne. Sejm czteroletni zamiast od początku starać się o wystawienie 100,000 armii, opracowywał szczegóły przyszłej konstytucyi. Troska o sprawy wewnętrzne, o zachowanie ładu i porządku paraliżowała siłę odporu.

Reformy ówczesne sądzi Kostomarow z dzisiejszego stanowiska; wobec nich nie jest on badaczem, który myślą przenosi się w przeszłość i ocenia warunki miejsca i czasu. Ustawa 3-go maja jest dlań tylko figlem, sztuczką („fokus“). Kołłątajowi zaś ma za złe, że żądał tylko osobistego uwolnienia włościan, ale bez nadania im ziemi.

Dla ludzi XVIII wieku operacya wykupowa przy pomocy państwa była pojęciem niedostępnem, tembardziej nie mógł jej przedsięwziąć rząd polski, który zaczynał dopiero uczyć się gospodarstwa finansowego. Gdyby jednak historyk oprócz 125 dzieł, które cytuje, zajrzał jeszcze do innych, przekonałby się, że nawet myśl nadania ziemi za czynsz i powolnej jego spłaty była kilkakrotnie podniesioną.

Dla nas reformy te są tylko pół-środkami, ale dla współczesnych były one synonimami rewolucyjnego przewrotu. Opozycya targowiczan, motywy trzeciego rozbioru, w rzędzie których znajdujemy „sposób myślenia polaków, zwłaszcza młodych, wolność włościan itp. rzeczy“ — wymownie świadczą o tem.

W odpowiedzi p. Kojałowiczowi, którą niedawno pomieściliśmy w *Prawdzie*, Kostomarow wyraża inny pogląd — ten sam, który my zaznaczamy. Czy zmienił zdanie, czy też wyznawał je oddawna, ale ponieważ nie licowało z myślą przewodnią dzieła — zamilczał, bo nie chciał psuć całości obrazu — prędzej chyba to ostatnie przypuszczenie przyjąć trzeba.

Lud polski, według jego zdania, obojętnie patrzył na upadek Rzeczypospolitej, bo „nie miał ojczyzny, jak jej nigdy niema niewolnik.“ Ale sam Kostomarow niejednokrotnie mówi nam o patryotyzmie, o dążeniach politycznych innych „niewolników.“ Obietnice Kościuszki nie wywołały żadnego prawie wrażenia, owszem chłopi niechętnie byli usposobieni dla powstania. Szczegóły, jakie p. Korzon zebrał skrzętnie, liczba ofiar pieniężnych od włościan, udział ich w wojnie, zadają kłam temu twierdzeniu, które jednak pozostanie na długo w mocy nawet wobec najbardziej przekonywających argumentów.

Ciekawe są opisy 1794 r. Podczas wypadków kwietniowych polacy rozpasali się na okrucieństwa wszelkiego rodzaju, mordowali żołnierzy rosyjskich nawet bezbronnych itd. Smutny to bezwątpienia fakt, ale zwyczajny we wszystkich rewolucyach, które przecie bez przelewu krwi obywać się nie mogą. Kostomarow podaje dosyć szczegółowy opis wzięcia Pragi. Prostuje on błędne mniemania polskich pisarzy, jakoby cała ludność została wyrżniętą. Część wojska rosyjskiego została potem na kwaterach na Pradze; były więc domy, a jeżeli były domy, to mieszkali w nich ludzie. Zresztą podczas szturmu pozostawał otwartym most, kto chciał — mógł uciekać. Nareszcie generał Suworow, który starał się wszelkiemi siłami poskromić okrucieństwo żołnierzy, rozkazał ludności chronić się do rosyjskiego obozu. Wszyscy, którzy posłuchali tego rozporządzenia — ocalili życie, jak np. księża bernardyni, bernardynki z uczennicami itd. Rycerski charakter Suworowa nie potrzebował nawet tej obrony; wiadomo przecie, że kiedy generał ujrzał pomiędzy gromadą trupów i rannych indyka z przełamaną nogą, zawołał: biedne zwierzę dla czegoż i ty bierzesz udział w nieszczęściach ludzkich, poczem rozkazał odnieść go do szpitala i troskliwie pielęgnować.

W końcu dzieła Kostomarow występuje znowu w charakterze publicysty, który na 860 stronicy zapomina o tem, co powiedział na 26-ej. Obecnie główną przyczyną upadku Polski jest już nie charakter narodu, ale „potworne złączenie dwóch przeciwnych żywiołów“ swobody republikańskiej i niewoli społecznej. Na zdanie to zgodzić się można, ale nie tłomaczy ono tej zgnilizny, tego wyrodzenia narodu, o jakich poprzednio historyk mówi. Niema wątpliwości, że w społeczeństwie polskiem XVIII wieku dostrzegamy wiele oznak rozkładu i zepsucia, ale przy badaniu tego stanu rzeczy należy odróżniać sfery rządzące od jądra narodu. Bez tego niezrozumiałymi są objawy żywotności w następnem zaraz pokoleniu, niepodobnym wreszcie do wytłomaczenia rozkwit życia umysłowego, jaki wkrótce po upadku politycznym nastąpił, a którego początki znajdujemy jeszcze w drugiej połowie XIX wieku.

Ostatnie karty dzieła dzieła zajmuje usprawiedliwienie etyczne upadku Polski, która sama również w dziejach swoich trzymała się polityki intryg i zaborów. „Czyliż nie gwałtem zagarnęła Ruś Czerwoną? Czy nie intrygą i siłą przyłączyła W. Ks. Litewskie.“ Dalej idą rozprawy na temat, że lud ruski i litewski nigdy dobrowolnie nie łączył się z Polską i wyrzuty z powodu protegowania samozwańców.

„Z przekonaniem bezstronnem, bez zaślepienia patryotycznego — kończy Kostomarow — powiemy, że ze wszystkich nabytków terytoryalnych dokonanych w Europie w XVIII wieku, przyłączenie przez Katarzynę prowincyj ruskich było najbardziej słuszną sprawą, przynajmniej względnie, ponieważ czyn ten powracał państwu to, co należało doń nie na zasadzie wspomnień dynastycznych albo dokumentów archiwalnych, ale odwiecznego, żywego związku narodowego.“

Dla charakterystyki tego związku zaraz potem przytacza autor pieśń małoruską:

Nastupyła czorna chmara, nastała szczej sywa
Buła Polszczа, buła Polszczа taj stała Rosija.

Dalej zaś idzie opowiadanie jak chłopi pracują na pańszczyźnie, jak „okomon“ ich łaje i bije itd.

Słowem po czarnej chmurze przyszła szara — i nic nie uległo zmianie, tak kończy swoje historyozoficzne wywody Kostomarow, ciesząc się jednocześnie, że lud ruski uwolniony został od „haniebnego jarzma lackiego.“

W pogrzebowej mowie niejaki p. F. Niesłuchowski wypowiedział o stosunku zmarłego historyka do polaków takie zdanie: „Z właściwą mu miłością prawdy wyjaśniał on słabe strony życia historycznego polaków. Ubolewał z powodu tych słabości, biczował swawolę panów, ich fanatyzm religijny, ale nie znieważał trupa politycznego i cieszył się z każdego objawu odrodzenia moralnego narodu polskiego. Prace historyczne zmarłego, dotyczące historyi Polski, łącznie z pracami naszych najlepszych historyków, dopomagały do obudzenia samowiedzy, powróciły polaków na łono życia słowiańskiego i zmusiły dumnego niegdyś pana do uznania w chłopie ruskim współobywatela, bliźniego i brata. Osobistość Kostomarowa zajmie poważne miejsce w historyi samowiedzy polskiej.“ We własnem imieniu pragniemy sąd ten nieco uzupełnić.

Prace Kostomarowa, wprost lub pośrednio dotyczące historyi Polski, posiadają

znaczną wartość. Obfitość nieznanego innym badaczom materyału i talent autora zapewniają im to stanowisko. Ale nie należy zapominać, że był on jedynie historykiem-beletrystą, który w barwny sposób przedstawiał dzieje; o tem wszakże, co się nazywa metodą naukową w historyi a zwłaszcza o obecnych jej wymaganiach miał bardzo niedokładne pojęcie.

Niema wątpliwości, że pisał w dobrej wierze, że pragnął być bezstronnym, że żywił szczere współczucie dla ludu polskiego.

Nie mamy zamiaru kreślić życiorysu Kostomarowa, zaznaczamy więc tylko, że urodził się w guberni woroneskiej w 1817 r., kończył uniwersytet w Charkowie, potem był nauczycielem w Równem i docentem w Kijowie. W 1846 roku aresztowany był razem z Szewczenką i wysłany do Saratowa. W 1860 i 61 wykładał w uniwersytecie petersburskim. Pisał również po małorusku pod pseudomymem Jeremiasza Hałki. Powszechnie zaliczano go do ukrainofilów.

W-o.

Z GALICYI.

Lwów, 2 maja 1885.

Wybory—nasza reprezentacya i jej właściwa działalność. — Postępowcy „stojący.“ — Stosunki wyborcze: miasta, żydzi, rusini. — Fundacye Czarkowskiej i Lewińskiego. — Czytelnia akademicka.

Na pierwsze dni czerwca rozpisano wybory poselskie. Oto najważniejsza w tej chwili u nas wiadomość. *Robimy* politykę na wielką skalę. Codziennie niezawisłe i niby - niezawisłe dzienniki przynoszą długie szpalty wiadomości o ruchu (?!) wyborczym, zaczerpniętych, jak zapewniają, z wiarogodnego źródła. Niby w kalejdoskopie przesuwają się szeregi nazwisk, o których niejednokrotnie czytałeś w pamiętnikach heraldycznych. Teraz często je spotykasz w opisach balów lub wesel arystokratycznych, które oprócz gazety urzędowej jedynie mistrzowskie pióra fejletonistów *Czasu* i *Przeglądu* z prawdziwym wdziękiem spragnionym tej strawy czytelnikom podają. Ci to „przedstawiciele starych rodów“ powołani są jedynie do reprezentowania narodu, tak przynajmniej na wyścigi zapewniają konserwatywne pisma i ich czciciele. Oczywiście najważniejsza chwila tej reprezentacyi przy uroczystem otwarciu parlamentu lub np. na balu dworskim—tak szepczą ci podstępne głosy, a ty już widzisz w myśli, jak wspaniale występują twoi ziomkowie w strojach narodowych, w stolicy państwa, słyszysz dokoła szepty: *die schönen Polen in ihrer Nationaltracht!* duma narodowa rozpiera ci piersi, i spieszysz do urny wyborczej, ażeby oddać głos swój tym, którzy *tak* godnie reprezentują kraj i naród. Któżby tam pamiętał w tej chwili, że po ćwierćwiekowych rządach konstytucyjnych, przy współudziale tych właśnie posłów, kraj nie zdobył sobie ani jednej korzyści, przeciwnie ugina się pod ciężarem podatków, przewyższających jego siły; że na wszelkie jego żądania, choćby najbardziej uzasadnione, znajduje się na podorędziu odpowiedź: „rząd sprzyja gorąco krajowi ale.. w tej chwili brak pieniędzy,“ lub—„mimo najszczerszej chęci rząd nie może zadość uczynić żądaniu, bo... wyższe względy państwowe nie pozwalają;“ że wreszcie schyłek tego 25-lecia znaczy się nie postępem, lecz cofaniem wstecz, bo klerykalizm bierze górę *) a kardynalne prawo, zagwarantowane obywatelom państwa ustawami zasadniczemi, swoboda przekonania coraz częściej znajduje swe ujemne dopełnienie w zastosowaniu postępowania t. z. objektywnego, dzięki któremu każdy śmielszy głos krytyki obecnych rządów i obecnego systemu bezzwłocznie i bezwzględnie zostaje stłumiony.

Tak jest, wierzę w to silnie, że o tem wszystkiem w stanowczej chwili tylko nieznaczna garstka chyba pamiętać będzie a i ta prawdopodobnie, czując swą niemoc, głosu nie podniesie. Pisma nasze już teraz ustępują ze skrajnego stanowiska, jakie niedawno zajęły wobec Koła polskiego. Ciągle czytam upomnienia: „spodziewamy się po rozumie i dojrzałości politycznej szan. wyborców miasta N., że wybiorą na reprezentanta swego okręgu p. X., męża o wybitnej przeszłości politycznej, weterana na arenie parlamentarnej itd.“ Jak to doskonale odbija obok innego artykułu, w którym przed kilku tygodniami mówiono o niedołęstwie kierowników Koła polskiego i p. X. między innymi niemal palcem wskazano! Albo jak świetną jest wiadomość, że JE. p. Kazimierz Grocholski odrzucił ofiarowaną mu godność para, bo nadal chce służyć krajowi na swem trudnem stanowisku w Izbie poselskiej, oczywiście, jeżeli szan. wyborcy zechcą go zaszczycić mandatem. O, ekscelencyo, tyle łaski! Czyż skołatane twe zdrowie i wiek podeszły pozwolą ci, ażebyś jeszcze narażał się na trudy? Czy nie byłoby lepiej, ażebyś już spoczął po tylu mozołach i nie narażał się na krytykę niepowołanych pismaków, co wyższej polityki Koła polskiego zrozumieć nie zdolni? Wszak wygodne stanowisko w Izbie panów lepiejby odpowiadało twemu zdrowiu i wiekowi... Niech młodzi wezmą na swe barki ciężar pracy i obowiązku!...

Wybiorą cię jednak jednogłośnie. Wybiorą także p. X. Y. Z. itd., wszystkich, których obwiniano o niedołęstwo.

Gruntownych tedy zmian nie należy się obawiać. Dziwi mnie nawet, że rząd tak troskliwe oko zwrócił na wybory i wydał rozmaite poufne instrukcye, ażeby zabezpieczyć wyborcom „swobodę przekonania.“ Nikt tej swobody łamać nie myśli. Komitet centralny zbiera się dla narady w pierszej połowie (10) maja a znana jego sprężystość wpłynie na to, że wyborcom, którzyby zaleconych przyjąć nie chcieli, zabraknie czasu, ażeby inne kandydatury skutecznie mogli przeciwstawić. Miasta prawie nie dają znaku życia lub też wyszukują rozmaitych cnót w osobach dawnych swych posłów, ażeby się nie trudzić kłopotem, jakiby na nie spadł, gdyby potrzeba było obejrzeć się za ludźmi nowymi. W głębi duszy wprawdzie każdy polak czuje się należycie uzdolnionym do dźwigania na swych barkach mandatu, ale cóż, wszyscy posłami być nie mogą; ażeby więc nikomu krzywdy nie było, najlepiej niech pozostaną dawni. O wyborcach z większych posiadłości może lepiej nie wspominać. Jestem prawie pewny, że np. w Sanockiem wypłynie znowu p. Kozłowski, chociaż parlament nie załatwił ostatecznie jego sprawy z listem pozyjnym *Laenderbanku* na 60,000 złr., co wedle zdania 6 członków (przeciwko 7) komisyi, rozpoznającej tę sprawę, nie zbyt licowało z godnością poselską. Ale cóż to szkodzi? Wszak szlachta zawsze jest jeszcze u nas stanem rządzącym a ona ma inne przekonania w tej mierze.

Obraz nie byłby zupełny, gdybym nie wspomniał o partyi rusińskiej i żydach. Niestety i tu nie wesołe widoki. Żydzi jeszcze za mało są obywatelami kraju a za wiele mają respektu dla władzy. Stąd też wybiorą tych, których im wskażą, lub też tych, którzy im najbardziej—mniejsza o to, czy prawdziwie lub nie—starają się przypomnieć Palestynę. Widzę już, jak Blocha z owacyami przyjmą i wybrańcem ogłoszą.

Rusini jeszcze wciąż fermentują. Nikomu nie dowierzają a między sobą kłócą się zajadle. Boją się ugody z polakami, aby ich nie okrzyknięto za zdrajców, a sami mają za mało jeszcze sił. Przykro pomyśleć, co z tego będzie! Narodowcy razem z demokratyczną partyą polską zwyciężyliby, w odosobnieniu przegrają jedni i drudzy a wyjdą — starostowie i hrabiowie. Obym był fałszywym prorokiem!

Po za sprawą wyborów u nas pustki. Zanotuję chyba prawdziwie szlachetny czyn hrabiny Czarkowskiej. Kraj nasz zawdzięcza jej drugą już fundacyę. W pierwszej pamiętała o rzemieślnikach, w drugiej o sierotach. Na posiedzeniu Rady miasta Lwowa odczytano pismo jej pełnomocnika z zawiadomieniem, że podpisała akt, w którym przeznacza 20,000 złr. na rozszerzenie lwowskiego domu dla sierot, 2,000 złr. na urządzenie a 100,000 złr. na utrzymanie sierót obojga płci i obu wyznań (rzym. i gr. kat.), pochodzących częścią ze Lwowa, częścią z całego kraju. Czyn sam mówi za siebie i nie chciałbym dodawać komentarza, ale mimowoli mi się nasuwa pod pióro mało zapytanie: co więcej warte i co bardziej zasługuje na uznanie społeczeństwa: czy fundacye Czarkowskiej, czy stypendya szlacheckie dla krewnych fundatora? A Czarkowska jedna, szlacheckich fundacyj na papierosiki i śniadanka dla krewniaków — bez liku!

Zasługuje także na szczery poklask zdrowo myślącego ogółu fundacya dla zubożałych włościan w Galicyi z zapisu zmarłego w r. 1878 podpułkownika Edwarda Lewińskiego, który na cel ten przeznaczył sumę 32,000 złr. w rencie państwowej. Każdorazowy czysty dochód z kapitału będzie użyty na wspomożenie zubożałych włościan, którym mają być udzielane bezzwrotnie zapomogi w kwotach od 50 do 100 złr. Zapomogi rozdaje Wydział krajowy, który zarazem zarządza całą fundacyą, na wniosek wydziałów powiatowych, bez konkursu, po zasięgnięciu zdania starostwa. Rozdawnictwo będzie szło co roku kolejno powiatami, których wybór pozostawiono Wydziałowi krajowemu. W tym roku wybrano powiat krakowski, bardzo ciężko nawiedzony klęskami w roku ubiegłym, i rozdzielono 28 zapomóg w łącznej sumie 1,414 złr. Nie potrzebuję dodawać, jak wiele dobrego można zdziałać tą drogą, oczywiście przy rozumnem szafowaniu.

Na zakończenie nie mogę pominąć milczeniem sprawy, która bardzo wymownie świadczy o obojętności społeczeństwa naszego. Bez mała 20 lat istniała tutaj Czytelnia akademicka, towarzystwo założone przez ludzi dobrej woli. Długie lata spełniała Czytelnia godnie swoje zadanie, nie zapominając o potrzebach naukowych i towarzyskich a wydała ze swego grona nie jedną osobistość, zajmującą dziś wybitne w kraju stanowisko. Od lat kilku stosunki się zmieniły. Obojętność, ogarniająca wszystkie sfery społeczeństwa, doszła i do młodzieży. Coraz mniej interesowano się towarzystwem, liczba członków malała a dziś doszły już rzeczy do tego, że zarząd Towarzystwa uchwalił rozwiązanie! Nic dziwnego w kraju, w którym profesorowie więcej myślą o mandatach poselskich, niż o wychowaniu młodzieży ich pieczy powierzonej, ojcowie zaś uczą synów, że nikomu narażać się nie powinni a przedewszystkiem starać się o ciepłą posadkę, choćby kosztem własnego przekonania!

W tych dniach sprawa się rozstrzygnie na walnem zgromadzeniu członków. Smutnemby było, gdyby się nie znaleźli ludzie, którzyby otworzyli oczy lecącym w przepaść.

Leszek.

---

*) Przypominam nowelę szkolną i odwrót ministra oświaty w sprawie uniwersytetu wiedeńskiego, wykonany niedawno pod naciskiem księdza Greutera.

LISTY KRAKOWSKIE.

10 maja.

Doroczne, pełne posiedzenie Akademii umiejętności odbyło się czwartego b. m. W sali wielkiej, wytwornie przybranej na podniesieniu zasiadł zastępca protektora hr. Alfred Potocki, b. namiestnik Galicyi — a obok niego: prezes dr. Majer, sekretarz hr. Tarnowski Stan. i prelegent tegoroczny prof. Morawski. Na przeciw było miejsce przeznaczone dla rządowych, autonomicznych i miejskich, oraz kościelnych „wielkich świata tego.“ Czerwone krzesła poniżej estrady pomieściły w sobie liczny zastęp członków Akademii. Resztę sali wypełniła liczna publiczność, złożona przeważnie z dam—bo te, jakby chcąc sobie powetować niedostępność Akademii dla płci słabej, raz przynajmniej do roku panują w tym męskim przybytku mądrości—i urodą i liczbą i bogactwem stroju. Ma to swe dobre strony, bo posiedzenia—mówiąc szczerze--byłyby zbyt uroczyste, jednostajne, urzędowe... nudne.

Zagaił uroczystość hr. Alfred Potocki krótką przemową, wygłoszoną z pańskim taktem, uprzejmością i chłodem. Mówca cieszył się w imieniu dostojnego protektora, że Akademia rozwija się pomyślnie i wyraził nadzieję, że w przyszłości będzie jeszcze lepiej. To samo mówił dawniej—to samo powie za rok, za dziesięć lat—jeżeli będzie przemawiał, a rzeczy nie zmienią się zbytecznie. Na mowę tę odpowiedział dr. Majer tą swoją piękną jędrną, potoczystą polszczyzną, która gładkością i powabami stylu osłania obojętną treść, ale której słucha się przyjemnie i która nigdy nie razi. Sędziwy, krzepko opierający się czasowi prezes Akademii — jest może ostatnim w Polsce przedstawicielem wymowy okolicznościowej —jako zawodu. Kiedy odzywa się bądź z za stołu prezydyalnego, bądź na uczcie z kieliszkiem w dłoni, bądź nad trumną zmarłego—przypomina zawsze postacie wytrawnych oratorów, którzy nie mając obowiązku przekonywania, jednania lub zwalczania, czynili w sposób nieporównany zadość towarzyskiej potrzebie, domagającej się mówki.

Następnie prof. Stanisław Tarnowski, jako sekretarz Akademii, odczytał długie sprawozdanie z jej czynności za rok ubiegły, który liczy się zawsze od maja do maja. Przedstawił on ciężkie spustoszenie, jakie śmierć sprawiła w szeregach akademii; z czynnych członków zmarli: prof. Gustaw Piotrowski (mówiąc nawiasem jeden z najzasłużeńszych i najliberalniejszych profesorów naszej Wszechnicy—mąż dziwnie cichej pracy) i St. Koźmian w Poznaniu; z korespondentów Al. Uwarow w Moskwie, a z członków nadzwyczajnych: Boroński, Bratraszek, Hoszowski i Henryk Wodzicki. Po obszernem sprawozdaniu majątkowem i wyliczeniu stypendystów, wyszczególnił sekretarz cały szereg darów, jakie Akademia otrzymała w ciągu roku od osób prywatnych; najważniejszy z nich zapis Barszczewskiego 50,000 zł. austr. nie dostał się jeszcze do kasy, inne zaś, przeważnie zbiory i książki, znajdują się już w posiadaniu instytucyi.

Część naukowo-literacką wypełnił prof. Kaź. Morawski odczytem p. t.: *Słowo i natchnienie w rzymskiej poezyi.* Pomijając pocieszną rolę, jaką odgrywa z filozoficzną iście naiwnością na politycznej scenie Krakowa, jest on w swym zawodzie pracownikiem sumiennym, lecz przecenianym i psutym. O odczycie jego np. pisze *Czas*: „Odczyt ten, odznaczający się prawdziwie rzymską jędrnością, bogaty w spostrzeżenia bystre a głęboko—żywo zajął słuchaczy i wywołał huczne oklaski.“ Pojawi on się z pewnością w druku—wówczas będzie sądzić można o rzymskiej jędrności—co do oklasków, to tych nie brakło... *Die Leute schluyen in die Haende - Und riefen Bravo ohne Ende...*

Skoro nawet te osoby z publiczności, co nie rozumiały odczytu prof. Morawskiego, klaskać przestały, prezes rozerwał publicznie pieczęcie koperty, zawierającej nazwisko autora pracy p. t. „O języku ziemi krakowskiej XIV, XV i XVI wieku na podstawie ksiąg sądowych“—pracy, nagrodzonej na konkursie fundacyi imienia Lindego. Laureatem jest dr. Jan Hanusz, młody docent uniw. wiedeńskiego a niedawno jeszcze uczeń krakowskiej wszechnicy. W końcu sekretarz odczytał nazwiska kandydatów na członków czynnych: Nehringa, prof. Janczewskiego i pr. Frankego—a na korespondentów: prof. Ćwiklińskiego, dyr. Samolewicza i dr. Mertensa (z Gracu).

Wieczorem hr. St. Tarnowski wydał w domu swym ucztę dla wice-kuratora i członków Akademii.

W tym samym dniu, w którym świat nasz słuchał mów i sprawozdań o postępie naukowych badań, o rozwoju umiejętności ścisłych w Polsce i cieszył się, że tyloma światłami wiedzy płonęła sala akademickich posiedzeń—dowiedziano się także, iż rozstrzygnęła się nakoniec sprawa biednego, marnego kagańca—oświaty ludowej. Sprawa nie nowa, nie od wczoraj wlokąca się—przeto przypomnę ją pokrótce.

Kiedy przed pięciu blisko laty założono w Krakowie Towarzystwo oświaty ludowej—na podstawie statutu, który został zatwierdzony przez Namiestnictwo, obudził się w najszerszych nawet kołach gorący zapał obywatelski do podniesienia moralności i poziomu umysłowego ludu przez zakładanie po wsiach i miasteczkach czytelni, przez rozdawanie książek i dzienników i wogóle przez wyzyskanie wszystkich legalnych dróg, wiodących do urzeczywistnienia szlachetnych celów Towarzystwa. Oświata ludowa, oddawna szerzona ukradkiem przez młodzież akademicką, stała się hasłem popularnem, szczerze głoszonem. Przesadzano jej skuteczność, spodziewano się znaleść w niej cudowne lekarstwo na wszystkie krzywdy wieśniaka, na całą nędzę proletaryusza, zalegającego wilgotne nory przedmiejskie. Zapisywano się do Towarzystwa gromadnie, bez względu na różnice płci, stanu i *wyznania*; w ten sposób zgromadziły się pokaźne środki pieniężne i pokaźna siła liczebna jednostek, zdolna rozjaśnić moralną ciemnotę — jeden z licznych warunków niedoli ludu galicyjskiego. Założono niebawem kilka czytelni; zajęto się rozpowszechnianiem książeczek (lichych — bo lichych, ale na początek wystarczających)—pracowano.

Ale ludzie z obozu, który kieruje się w polityce wyższymi względami—wymówką, służącą do wytłomaczenia się z bezczynności i nepotyzmu—zadrżeli, widząc, jak rośnie w ich oczach ciało, którému nie oni życie dali i z postrachem słuchali, rychło dojdzie do nich wołanie: Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną, gdzieindziej pójdę i lud pójdzie za mną! I rozległo się: nie pozwalam—zrazu potulne, dziwujące się tylko, że walne Zgromadzenie Towarzystwa odbyło w dzień święty, w niedzielę — potem coraz jawniejsze i śmielsze, wyrażające obawy, że coś zadużo „żydów“ należy do Oświaty, zadużo ludzi politycznie niepewnych—aż w końcu wybuchło w jaskrawych słowach i jeszcze jaskrawszych uczynkach.

Rada szkolna krajowa dała nauczycielom gminnym *Wink von Oben*, żeby gmachu szkolnego nie ważyli się otwierać „dla obcych celów,“ opornych zaś karciła całym szeregiem środków, zacząwszy od nagany a skończywszy na smutnem przeniesieniu z posady (tak było z Wnorowskim zdolnym i gorliwym krzewicielem oświaty ludu, nauczycielem w Liszkach).

Nie mniej jednak silną podporą prac Towarzystwa byli proboszcze i wikaryusze wiejscy—ci już chyba po za obrębem rozszerzania wydawnictw lwowskiej Macierzy mało niebezpieczni. I oni jednak wydali się podejrzani, bo niedostępni stańczykowskiemu nadzorowi i do nich to wystosował w roku 1883 biskup krakowski Albin I. Kurendę dyecezyalną, równającą się urzędowemu zakazowi należenia do Towarzystwa Oświaty. Ta nowoczesna bulla zgniotła swym ciężarem sprawę ludową.

Pomijam opis dwuletnich przeszło losów Towarzystwa, wlokącego mizerny żywot wśród ustępowania niezależniejszych jednostek, wśród krucyat przeciw żydom, wyboru kanonika Pelczara na prezesa, delegacyj do biskupa z prośbą o zdjęcie klątwy, odsunięcia się rozgoryczonej młodzieży. Towarzystwo doczekawszy dnia dzisiejszego, tylko kosztem pracy i zaparcia się kilku członków—jest niczem... choć mogło stanowić epokę w dziejach okolic Krakowa.

Nareszcie po dwóch latach ciężkiej próby strawił się twardy gniew biskupa i w dobroć się rozpłynął: Sekretarz Towarzystwa Oświaty ludu ogłosił wczoraj w *Czasie* kurendę dyecezyalną, która omówiwszy poprzedni zakaz, brzmi w końcowym ustępie:

„Z pociechą uznajemy, że uwagi nasze odniosły skutek, wkrótce potem działalność Towarzystwa Oświaty ludowej weszła na drogę prowadzącą do celu, jakeśmy wskazali, a gdy obecnie i statut Towarzystwa żądane zmiany uwzględnił, możemy spokojnie polecić Towarzystwo Oświaty ludowej, jako zasługujące na zupełne zaufanie. Wielebne przeto Duchowieństwo Dyecezyalne, którego gorliwość o dobro duchowne naszego ludu dobrze Nam jest znaną, zechce udzielić swego poparcia zacnej działalności Towarzystwa Oświaty ludowej, wziąć w pracach jego czynny udział, skoro wezwanem będzie o to, a nie wątpimy, że na wspólnej tej pracy spocznie Błogosławieństwo Boże, bez którego bezowocneby były wszelkie usiłowania ludzkie.—W Krakowie d. 8 kwietnia 1885 r.—† Albin m. p.“

Walne zgromadzenie zbierze się nakoniec po dwóch latach przerwy i Towarzystwo ożyje na nowo—ale „inaczej, inaczej—inaczej.“

Niezbadane są zaprawdę ścieżki prawdy—pomyśli nie jeden... docent uniwersytecki—tak niedawno demokracya uliczna założyła Towarzystwo, by obałamucić lud i pchnąć go w bezeceństwa, a jednak dziwnem zrządzeniem to samo Towarzystwo dziś stanie się dla ludu źródłem prawdziwej oświaty, tak przeciwnej mętnym naukom podżegaczy... O tak, są ci demokraci cząstką—jak mówi poeta—*jener Kraft, die stats das Roese will, und stats des Gute schafft.*

M.

POZYTYWISTKA *).

I.

Za młodu była „entuzyastką,“ romantyczką, idealistką, w późnym dopiero wieku zrobiło ją życie, doświadczenie, nauka—

*) *Listy Narcyzy Żmichowskiej* do rodziny i przyjaciół. Kraków nakładem Gebethnera i Sp. 1885, t. I str. CLXVII i 394, t. II str. 612 w wielkiej 8-ce.

pozytywistką. Ten zasadniczy zwrot w życiu Gabryeli ujawnia się przedewszystkiem w jej uczuciach i pojęciach religijnych. W dzieciństwie sączyła się wiara z serca jej opiekunki w jej serce uniesieniem, łzą bólu, praktyką miłości. Gdy się w wieku młodzieńczym na chwilę zachwiała, zwróciły ją na „prostą“ drogę pobożne słowa stryjenki o nagrodzie cnotliwych, o szczęściu świętych, o aniołach, co przed tronem Boga śpiewają. Po chwilowem opadnięciu wezbrały fale jej uczuć religijnych w epoce więziennej (1849—1852). Zupełna samotność, rozmyślania obok lektury religijnej i wpływów postronnych (jak znajomość zażyła z duchownymi) sprawiły, że Żmichowska chodziła codziennie na mszę ranną i modliła się na intencyę, prosząc wzajemnie przyjaciółki o modlitwę. Jeżeli wtedy wszystkich swych zwątpień w Bystrzycy nie utopiła, jeżeli aż do szkaplerza i różańca wszystkich znaków i praktyk kościelnych nie przyjęła, to jednak pojmowała religią wznioślej i głębiej.

W chwilach zwątpień nawołuje sama siebie do pobożności. „Co tam twoje skrupuły, Narcysso, klęknij przed księdzem, czy wierzysz, czy nie wierzysz, klęknij, bo czas po temu.“ Ale jakiś dyabełek siedzi w niej i pokazuje od czasu do czasu swoje sztuczki. Przez sześć lat od 1847 r. nie przystępuje Gabryela do sakramentu pokuty. Nie chciała klęknąć przy konfesyonale, nie mogąc zadać kłamu własnemu sumieniu, ani wymódz na sobie gwałtem wiary w kapłaństwo bez sakramentu, czy w sakrament bez kapłaństwa. Czyni to jednak z głębszej pobożności, a ksiądz, którego się radzi, przyznaje jej słuszność. „W pokorze rozumu“ czeka więc, aż Bóg ześle odpowiedniego potrzebom jej duszy kapłana lub odpowiednią kapłaństwu wiarę. Robi, co może, aby iść z falangą pobożnych, trzyma się sztandaru religijnego, ale gdy jej czasem kamień na głowę spadnie, albo skorupa rozbita w nogę skaleczy, to syknie i rzuci garść piasku w oczy ortodoksyi. Jako nieprzyjaciółka zewnętrznego kultu nie zważa na spełnianie *foremek*, lecz domaga się rozbudzenia *ducha* religijnego coraz doskonalszem pojęciem Boga, coraz żywszem poczuciem jego prawdy i coraz silniejszem wykonaniem jego prawa. Za tą żywą wiarę kruszy kopie w swych pismach, zwłaszcza w „Gibraltarze,“ w „Burzy“ i „Zwaliskach Luksoru“ (1841—43), pisze nawet modlitwy: „Wstęp do książki z modlitwami“ (1854) „Święć się Imie Twoje“ (1862) „Modlitwa do św. Cecylii.“ Tak było w pierwszej epoce.

Po 1863 r. zaszła znaczna zmiana w wyobrażeniach Gabryeli. Na zmianę tę wpłynęły, jak zobaczymy, studya przyrodnicze i szerzący się u nas ruch postępowy. Już w „Niektórych pismach bezimiennej autorki“ występuje ona z gorącym, namiętnym protestem przeciw ślepej wierze i rutynie religijnej, broniąc swobody myślenia i dochodzenia prawdy; w „Starym dworze“ wykazuje, że taka wiara nie chroni bynajmniej swych wyznawców od grzechów i zbrodni. Do zasadniczej jednak zmiany pojęć i przekonań trzeba było dłuższego czasu, a nie obeszło się bez wewnętrznych walk. Od nowej wiary wywija się zrazu „jak wąż,“ broni się „jak dyabeł od święconej wody,“ a są chwile, w których „najgłębsza czcicielka prawdy dla prawdy“—jak się sama nazywa—tęskni za dawnymi mistycyzmami i wzdycha do nadnaturalności (w liście do Elli 18 czerwca 1866). Już pod koniec 1863 r. uderza ostro na „prostą“ wiarę, jak się wyraża, „babek z pod kościoła,“ które ze „skrzywionej“ wiary drugich żyją a ze swoją kłócą się biją i piją. Zamiast pościć, spowiadać się i odmawiać pacierze, lepiej przecież kochać *czynnie* bliźniego. Wiara prostaczków z pod kościoła truje tylko zabobonem lepsze dusze; nam trzeba raczej wiary „nadkościelnej,“ niż „podkościelnej.“ Z głębszem wniknięciem i poznaniem przyrody zawiesiła i te wyobrażenia religijne na kołku, a dążąc śmiało do uznania odrębności wiedzy od religii, doszła do tego, że na czele rządu światem musiała postawić konieczność z jej nieubłaganemi prawami. „Trudno — powiada — Jasiowi naszemu pogodzić się z tą myślą, że jako jednostka nic nie znaczy, że pod ogólne mechaniczne i rozumne ustawy całego świata podchodzi, jak ziarnko piasku pod nurt wody bieżącej, że sam z siebie i dla siebie może coś zrobić w zgodzie z temi prawami, ale uchylić z nich najmniejszego cudem żadnym nie zdoła.“ „Kiedy kto się gruntownie przejmie owem poczuciem nieuchylonej konieczności, to nakoniec śmiesznym we własnych oczach się staje, gdy nad nią ręce łamać zaczyna, a głupim, gdy jej nie wyzyskuje. Otóż wyzyskać konieczność można tylko, o ile się da, bliskiem poznaniem praw jej ogólnych i pracą do praw ogólnych, to jest do mas ogółowych zastosowaną. Wielki dudek, kto usta od cukrzonej szklanki wody odwraca, lub kto za cukrzoną szklanką wody (dajmy na to że pliką Listów zastawnych) głowę sobie rozbija—ascetyk i gwałtownik—jednemu Pan Bóg nic jego utrapień nie wynagrodzi, drugi pedogry dostanie, lub mu córka umrze, lub coś osobistego dojmie—wszystko bez sensu—w ład dopiero i sens składa się literatura—statystyka—sztuki piękne—cywilizacya historyczna—rozwój gatunkowy człowieka, a więc jeśli chcemy się nie oszukać, to w te regestry zapisywać nam trzeba osobiste rachunki.“ Już katolicyzm nie jest dla niej alfą i omegą świata. Z historyi wie, że wszystkie ludy, które zbyt długo żyją pod jednostajnym wpływem wspólnej, nigdy niezaprzeczonej, ani niepoprawianej dogmatyki, powoli nietylko w lenistwo duchowe, ale w zupełną obojętność duchową zapadają. Tworzenie się sekt najrozmaitszych jest świadectwem głębszego religijnego usposobienia, a narzędziem do wyrabiania energiczniejszych, trwalszych, więcej ciągu mających charakterów, a katolicyzm póty się na świetne zdobywał rezultaty, póki musiał szermierzyć. (1870). Dziś lgną do niego z nałogu, z obojętności, z potrzeby. Kiedy wiara jest cnotą teologiczną (nie chrześciańską), toć lepiej wierzyć więcej, niż mniej—instynktownie wszystkie potrzebujące wiary usposobienia lgną do katolicyzmu, który ich pod tym względem zadawala i jest niewyczerpany — ciągle coś nowego do wierzenia podaje, a starego nie znosi. Głodny może się najeść do syta—z tym dodatkiem, że wierzący nigdy się nie przeje—wszystko strawi więc też i wszystko połknie... (1872).

Dziwnie giętki umysł Gabryeli nasiąka w starości nowemi ideami, rozum jej podąża za młodemi siłami, ale serce nie może już przylgnąć do nich. Z dawnej gromadki wielu odeszło w niepowrotną drogę, a ci, którzy na wspólny gościniec przybyli—to wszystko obce twarze. „Każdą z nich witam z radością i uszanowaniem, ale nie mamy sobie nic ciekawego do powiedzenia—o nikogo nie dopytujemy się wzajemnie...“ Podróż na wystawę paryską z 1867 r. wpływa najsilniej na wrażliwy umysł poetki. „Wychylenie głowy ostatnie—powiada w liście do Seweryna—jeszcze mię bardziej we wstręcie do konserwatyzmu utwierdziło, i tem zupełnie tracę resztki moich archeologicznych sympatyj. Ze wszystkiego, co widziałam, tylko nowe rzeczy coś warte—inwencye naukowe—może trochę Ameryka. Przy czem istotnie stanęlibyście z podpisem waszego imienia—pyta swojej przyjaciółki—przy jakiej instytucyi, przy jakiem stronnictwie, przy jakim człowieku? „Kościół? *mauvais genre* mówić o jezuitach, ależ kapucyni i pani R. święta Bromirska i ci wszyscy księża, co się wyroili na Paryż—ach! wy się im chyba nie przyjrzeli nigdy—lub też wtedy jeszcze trochę inaczej wyglądali...“ W liście do Juluty z września 1872 powiada już otwarcie „*jestem ogromną pozytywistką.*“ Pierwsze światełko nowej wiary zawdzięcza panu Ignacemu B. filologowi, profesorowi Szkoły głównej, „pozytywiście zagorzalszemu niż sam Littré.“ Resztę dokonali Comte i Mill, których czyta z głębokiem przejęciem i uszanowaniem. „Pozytywizm—tak go sama formułuje—jest to 2+2=4. Gdyby sobie wszyscy ludzie nie wiem jakiego haczyszu, czy blekotu zadali, nic na to nie pomogą, zawsze dwa a dwa będzie cztery, i nic na to nie pomogą, by najpoczciwsze kobiety, tak jak łotrzyce największe, na raka nie umierały. Jeśli cię zraża dzisiejszy charakter tak zwanych pozytywistów między literatami *lub spekulantami* warsz., to najpierwej są oni wszyscy jeszcze w gatunku swoim (urodzeniu, wychowaniu) produktem bardzo mistycznej epoki, a zresztą zasada o wartości moralnej człowieka nie stanowi węgielnego kamienia. Z tej samej zasady wyjść może Bismark i Mill, Robespierre i Garibaldi — przypuszczam, że nawet jezuita może być dobrych intencyj lub dobrych skłonności człowiekiem.“ A jaka zmiana zaszła teraz w pojmowaniu historyi! Dawniej zdawało się jej stanowisko Opatrzności jasne, jak słońce świecące konsekwentnie nad mesyanicznem posłannictwem narodów, nad przeszłością i przyszłością naszą. Wycisnąwszy najsmakowitszy ekstrakt z poetów i mistyków, z własnych pragnień i popędów, piła go jak wodę. Po kilkunastu latach takiej hygieny uderzyła się o kamień probierczy wypadków i wszystko się w oczach jej przeinaczyło... Słońce zeszło na fajerwerk, ekstrakt poetyczny na belladonę. Ku starości przechylona, musiała, spojrzawszy po za siebie i dokoła, powiedzieć sobie niemiły komplement: „Głupia jesteś: Opatrzności nic a nic nie rozumiesz, więc się do niej nie mieszaj i na targ z nią nie wyjeżdżaj, tobie się w to nie wdawać. *Co ludzkie tylko—to do ciebie należy*, i widzisz sama, że wszystko po ludzku, ludzkimi sposobami się stajo.“ I zdobyła sobie pewność, że sprawy ludzkości całej toczą się bardzo naturalną koleją podług praw geografii, fizyki, fizyologii, statystyki itd. Bez Mussetowskich jęków kwestyę Boga i nieśmiertelności zawiesiła teraz na haczyku spokojnego znaku zapytania. Każdy rezultat, każdy pewnik, na naukach przyrodzonych zdobyty, nawet wprost *do zaprzeczenia* prowadził, lecz trzechletnie ciągłe prawie czytywanie dzieł, ze ścisłością matematyczną pisanych, wyrobiło w niej pewną dozę ostrożności. Gdyby tak przed dwudziestu laty napomknął jej ktoś o prawie dziedziczności lub o jedności sił w naturze—bez namysłu krzyknęłaby: „niema nieśmiertelności, nie ma, bo nie potrzeba Boga;“ ale dzisiaj nie jest taka prędka. Z pewnością ręczyć tylko może, że nieśmiertelność nie jest taką, o jakiej ją ks. P. uczył, ani Bóg nie jest tem, czem go w Watykanie i na niemieckich i na angielskich nawet synodach mianują; równie jak nie jest tem, czem go sobie murzyn i indyanin pampasów wyobraża, nie jest ani piorunem, ani deszczem, ani lekarstwem, nie jest też ani papieżem najwyższym, ani żadną osobą jaka dotychczas była. Czy jednak nie ma wcale nieśmiertelności? Owszem pokazuje się, że jest ciągła ogólna nieśmiertelność, a przy lepszem rozpoznaniu i zbadaniu warunków i praw dziedziczności, może się kiedyś coraz bliżej nieśmiertelności pojedynczych osobników dojmiemy. Czy nie ma wcale Boga, dlatego że Afryka nie wyrosła z fetyszyzmu, a Europa tkwi jeszcze w antropomorfizmie? Że tyle kłamstw i zbrodni z czasem przezwano imieniem Boga—to wcale nie racya, żeby sobie raczej kiedyś Prawdy i Cnoty Bogiem nie nazwać. Że w Bogu

wierzyły ze snu zwierzęcości rozbudzające się warstwy ludzkiego rodzaju, nie idzie za tem, by się bez niego obeszły najwszechstronniej ucywilizowane społeczeństwa. Człowiek dziki ze strachu i pożądliwości najpierwej zaczerpnął poczucie jakiejś wyższej nad siebie istoty i zawołał: Bóg! Ha ha—śmieją się uczeni—nieświadomość stworzyła Boga. Słuszna uwaga, ale nieświadomość ta, uzupełniona mnóstwem praw i wyobrażeń etycznych, zaczęła przechodzić w Ideał doskonałości. Czy dzieje mogą się obyć bez Ideału doskonałości? Czy ten ideał nie jest koniecznym warunkiem dalszego rozwoju gatunków? Pełno takich zapytań w duszy Gabryeli, która ma tylko tę pewność, że każdy pierwotny, zwierzęcy instynkt człowiek przechowuje, rozpromienia, oczyszcza, upięknia i do boskości podnosi.

Ten pozytywny kierunek przebija się wyraźnie w pismach Żmichowskiej z ostatniej doby, atakowanych w swoim czasie przez konserwatystów. Przypominam tylko studyum nad Hoffmanową (w zbiorowem wydaniu dzieł tej autorki) i życiorys Strzeleckiego (w *Ateneum* 1876), w którym Gabryela wystąpiła przeciw jezuitom, arystokracyi, i wypowiedziała otwarcie swoje poglądy na religię.

Znamienną cechą ducha Gabryeli jest postępowe dążenie, ruch naprzód, ciągła walka w dobijaniu się pełniejszej prawdy. Ideałom ukochanym w młodości, zasadom święcie przechowywanym wypowiada służbę, skoro się przekona o ich kłamstwie i nieużyteczności. A jeżeli to, czem się zachwycała w swych pierwszych pracach, potępia najzupełniej w późniejszych, to nie przez chwiejność zasad, ale dlatego, że idzie krok w krok za postępem czasu i za nowymi rezultatami wiedzy. Poznaliśmy jej rozwój w rzeczach religii, przypatrzmy się jeszcze przeobrażeniom jej pojęcia miłości. Że przywódczyni entuzyastek ubóstwiać będzie miłość—to łatwo było przewidzieć. Już w wierszu najrańszej doby „W Imionniku" pragnie „tylko kochać," bo „miłość, to mądrość boża, to prawda wieków, to niebios zorza." W „Pogance" nazywa bohater „kochanie jedyną nieśmiertelnością człowieczeństwa;" a w „Książce Pamiątek" jest miłość „aniołem," talizmanem na ogarnięcie ziemi i nieba, na stworzenie ideału i doskonałości, na pokonanie piekła i niepodobieństwa. Bez miłości nie ma rodzin, nie ma mistrzów, nie ma bohaterów, nie ma artystów; a gorzej jeszcze z miłością zaprzeczoną, bo z taką są w dalszem życiu dziwacy, skąpcy, systematycy kamienni, łzami przesiąkłe gąbki, woski, szkaradnych odcisków biorące piętna; są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze lub trupy. Jeszcze w 1867 r. oburzają ją Maltusowe teorye, utrzymuje bowiem, że nikt nie znajdzie na szczęście innego sposobu nad ukochanie. Miłość może nie jest szczęściem samem, kto kocha, może mieć pełno zmartwień i biedy, ale ma pociechę i festyny swoje z tego, li z tego, że kocha; jest nawet pewną, że ukochanie mogłoby być szczęściem zupełnem, gdybyśmy więcej i lepiej kochali. Tym kultem miłości zbłądziła Saintsimonistka, jak to już zauważył Chmielowski w swojem pięknem studyum o Żmichowskiej. Miłość, jak wszelkie uczucia będące pobudkami do czynów, może zarówno budować grody jak je burzyć. Ślepe poddawanie się temu instynktowi może być bardzo niebezpieczne, jak puszczanie okrętu na wezbrane fale morskie bez busoli. Spostrzegła ten błąd exromantyczka sama, dla tego nie dokończyła już „Książki Pamiątek." Kiedy ją pisała, była przekonaną, że nikt nigdy miłości nie powinien się wyrzekać, bo ona ukrzepia, ośmiela, uzbraja. W epilogu „Pamiątek" wie już z pewnością, że zaprzeczona, czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona, czy rozbita, *każda miłość* z lat koleją, choć innemi ścieżkami u tegoż samego punktu *błotnistej* rozłogi staje... Straszne zaprzeczenie sobie! Biedna entuzyastka—ileż wycierpieć musiała, zanim czysta jej dusza taką wezbrała goryczą! (Boberska Odczyt o Żmichowskiej, Kraków 1885 str. 36). W „Białej róży widzimy już punkt zapatrywania poetki zupełnie zmieniony. Ludzie, powiada, ułożyli sobie na nieszczęście wielki poemat o miłości, a w oderwanych wierszach i aforyzmach ten poemat jak *fałszywa moneta* rozbiegł się po kraju. Miłość wyłączna kochanka i kochanki jest gniazdeczko, która nie każdemu błyszczy, czasem zgaśnie, czasem chmurami zajdzie, czasem rozbije się w przestrzeniach. Kto rozumny, ten ją do *naddatków* życia, jak urodę, majątek, lub wyższy talent w sztukach pięknych policzy; ale gonić za nią, wymyślać ją sobie, ciągle o niej marzyć, jest to urojenie oddawać za prawdziwe skarby. Kochać potrzeba nie same ideały wcielone, nie same piękności doskonałe, ale wszystko, co nam bliskie: jeśli rodziców, to rodziców, choć z najsmutniejszemi przywarami; jeśli dzieci, to dzieci, choć wcale nieobiecujące na przyszłość i niepojętne w teraźniejszości; jeśli przyjaciół, to przyjaciół, choć niesłynnych rozumem, znaczeniem, tkliwością; jeśli kochanków, to kochanków choć zwyczajnych ludzi, choć ułomnych, choć nie bohaterów." W powieści „Kasia i Marynka" buduje już Gabryela wspaniały gmach społeczeństwa na fundamentach *prawa* i *obowiązku* z pominięciem *miłości.* „Bardzo dawniej głosiłam—powiada w liście z 1873 r. do swej przyjaciółki—że człowiek do człowieka nie powinien w żadnym wzajemnym uczynku bez miłości się zbliżyć—że mu nie wolno, bez odpowiedniego wezbrania serca, ręki z pomocą wyciągnąć, uśmiechnąć się, dzień dobry powiedzieć—jeśli nie kochał. Radykalistka miłości była ze mnie, co się zowie! Aż nakoniec przekonałam się, że miłość zupełnie naddatkową aureolą—losem wygranym na loteryi—kiedy przyjdzie, cześć jej, lecz kiedy nie przyjdzie—zawsze dalej taczkę pchać trzeba—to jest obowiązek—a do pewnego stopnia w wielu okolicznościach łatwiejszy do spełnienia, kiedy miłość na scenę nie występuje. Sama przyznasz, że matce okropniej być musi, gdy widzi, że jej syn łotr lub osieł, niż nam, które jednak szczerze nad tem pracujemy, żeby mniej łotrów i jak najmniej osłów na świecie było. Przykro nam bardzo, kiedy się praca nie wiedzie, ale to jeszcze nie są te piekące wizykatorye na sercu, jakie biedne matki noszą."

(D. n.).

LIBERUM VETO.

Kula przyszłości. — Jej dobroczynne skutki. — Hołd pracującej szlachetnie myśli. — Koszulka stalowa z datą. — Jubileusz Zacharyasiewicza. — Ludzie przyrośnięci do swojej epoki. — Spielberg jako szkoła. — Wczesny obrachunek. — Jubileusz Münchelmera. — Typ dziewicy polskiej. — Nasze literatki w groźnem odbiciu. — Postrach dla niemców. — Duch Rogozińskiego.

Witaj radosna jutrznio, zapowiadająca ową chwilę, w której—jak twierdzi za kimś *Kuryer codzienny* — „społeczeństwa odetchną nieco lżej!" I cóż z ich piersi zdejmie gniotący ciężar? „Kula przyszłości"—wynalazek, który ozdobił czoło naszego wieku jednym z najpiękniejszych liści wawrzynu.

Potrzebuję tylko powtórzyć słowa pochwalnej kantaty na cześć tego dobrodziejstwa, ażeby czytelnik bez długich wywodów zrozumiał jego cywilizacyjną ważność. Dotąd kule karabinowe były ołowiane, które chybiały i więzły w ciele; otóż dano im w Niemczech koszulki stalowe. Skutkiem tego — jak donosi *Kuryer* — „nowy pocisk ma nieocenione własności: przebija na odległość 30 kroków blachę żelazną, mającą trzy milimetry grubości, i 16 calowe belki sosnowe; przeszywa on zwykłe ceglane parkany, a ziemne okopy grubości 1¼ łokcia przechodzi na wylot." Kula taka z mniejszej odległości przedziurawia na wskroś trzech żołnierzy. Ponieważ wszakże te jej dziurki będą niewielkie i gładkie, więc chociaż „obiecują dostarczyć większej ilości rannych"—„społeczeństwa odetchną nieco lżej."

O myśli ludzka! — źle mówię — o myśli niemiecka, jakże ty potężnie wylatujesz z gwintowanego karabina, jakże umiesz trafiać do serc i mózgów ludzkich! Na kolana padam przed twoim nowym tryumfem, który obiecuje „gładkie dziurki." Prawdziwa to pociecha po tylu zdrożnych zbłąkaniach się ducha człowieczego, który wstępuje w Darwinów, Renanów, Millów i innych szatanów nauki. Niech tam ludzkość nigdy się nie dowie, kiedy żył Homer, kiedy aryowie przybyli do Europy, kiedy pojawił się pierwszy druk—aby tylko w historyi zapisana została ściśle i zachowana na wieki owa data, kiedy p. Lorenz z Carlsruhe wynalazł kule z koszulkami stalowemi a „społeczeństwa odetchnęły nieco lżej." Ach, jakże potomni wzdychać będą do owego XIX stulecia, w którem mędrcy, badający początek świata, szli do kozy, a fabrykanci kul przyszłości obsypywani byli zaszczytami!

Niestety, żadna taka chwała nie opromieniła naszego życia—żaden polak nie zasłynął w dziejach kul przebijających bodaj dwucalowe deski. Trudno, trzeba poprzestawać na tych bohaterach, których nam losy dały. W szczupłem gronie kolegów i przyjaciół święcił 30 rocznicę swej pracy Jan Zacharyasiewicz. Niedaleko za obecną dobę przepłynął czas, kiedy ten pisarz, obok Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Jeża, zajmował współrzędne miejsce, a utwory jego budziły mocne zajęcie. Przemiany umysłowe kilkunastu lat ostatnich, jak wielu innym, i Zacharyasiewiczowi zmniejszyły moralną rentę, którą z zasług swych pobierał. Jest to ciągle autor ceniony, szanowany, ale czytany już tylko w kole ograniczonem. Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, młodsze talenty ze świeżą techniką i świeżemi ideami pociągnęły ku sobie ogół. Zwykła to kolej pisarzów, dojrzewających w epoce silnie jakimś prądem zaznaczonej, że one po za jej granicami, w odmiennych warunkach, tracą nagle swoje znaczenie, swój wpływ. Przypatrzmy się płatkom śniegu, jak one w zimie dumnie okrywają ziemię, i zobaczmy, jak w późnej wiośnie spadają lękliwie, nie budzą ani obawy, ani radości i topnieją szybko. Podobnie dzieje się z ludźmi, których historya jak śnieg, jak rosę, w pewnych okresach spuszcza. Zacharyasiewicz był dzieckiem czwartego dziesiątka wieku naszego, „kształcił się—jak trafnie powiada p. Zoryan—w Spielbergu"—i to aż trzykrotnie—nasiąkał wrażeniami austryackiego ucisku; gdy więc ta pora minęła i gdy autor z Galicyi przeniósł swoje pomysły do Królestwa, zbrakło mu—że tak powiem—ostrych nabojów i tarczy, pozostał tylko szrót i proch do polowania na drobną zwierzynę drapieżną. Powieściopisarz z usposobienia i nałogu tendencyjny, musiał albo zrzec się udziału w starciach bieżących, albo też zabierać głos w sprawach drobnych, pokojowych. Wyglądał on jak żołnierz, co przebywszy wielką kampanię, struże zabawki dla dzieci lub fajerwerki dla sąsiadów, którym w potrzebie daje doświadczone rady. O ile po r. 1866 i 1871 w Galicyi pozostały niezałatwione procesy społeczno-polityczne, wysuwające się ciągle z łupieżczych dążeń germanizmu, Zacharyasiewicz

występował w nich jako świadek, obrońca, prokurator i jako sędzia przysięgły; ale w rolach tych zdobywał jedynie tę palmę, którą zdobywa rzetelność, patryotyzm i zacne chęci obywatelskie. Nie mogąc potężnemi ramionami dźwignąć na szczyt góry Syzyfowego kamienia, kreślił obrazki obyczajowe lub tkał wątki psychologiczne o barwach starannie dobranych, choć nieco przyblakłych. To też należy on do autorów, których za życia i przed skończeniem pracy literatura obliczyć i należną im sławę wypłacić może. Toasty przy pamiątkowym objedzie, nawet wywołane tą uroczystością życiorysy nie kończą naturalnie tego rachunku i dają jedynie jubilatowi hojne zaliczki; ale chociaż on swój dorobek ilościowo powiększy, jakościowo już go nie podniesie. Jest to bowiem znakomity artysta, który wprawnie gra na przestarzałym instrumencie, a jeżeli nawet czasem skomponuje coś ze świeżych natchnień, to zastosowuje w technice do natury tego instrumentu. Imię Zacharyasiewicza wypisane na odwróconych już kartach naszej literackiej księgi budzi szacunek wspomnieniami o *S. Jurze* i *Kresach*, ale rzucone w gwar dzisiejszy żadnem magicznem zaklęciem nie jest.

Ilu właściwie lat potrzeba u nas dla wysłużenia jubileuszu — nie wiem. Dawniej 25 i 50; dziś także 30, 35, a nawet 40, 42, 43¼. Współcześnie z Zacharyasiewiczem uczczono sumiennego pracownika Adama Münheimera, dyrektora opery polskiej, kompozytora, za 35 lat użytecznej pracy. Cieszy on się szeroką i zasłużoną sympatyą, którą pozyskał zwłaszcza w porównaniu z p. Rzebiczkiem. Ten ostatni nie doczekał się jeszcze sprawiedliwej biografii, ale jeżeli doczeka, odczyta w niej pewnie powody zwiększonego uznania dla—Münheimera.

Rysownicy nasi podobno zatonęli w rozmyślaniach nad „typem dziewicy polskiej,“ wyznaczonym na konkurs przez *Tygodnik powszechny*. P. J. Cz. usiłował pomódz im „piórem“ w *Kuryerze warsz.*, ale zdaje mi się, że kłopotu nie usunął. *Typ* bowiem polskiej dziewicy — to zarówno Marysia, która z kaliną we włosach czerwonemi nogami brnie po błocie do kościoła i dopiero na cmentarzu kładzie trzewiki, jako też ekonomówna lub komornikówna, oglądająca się ciągle na swą tiurniurę, a także mieszczanka lub arystokratka ze stolicy. Włosy czarne i jasne, nosy długie, czoła niskie i wąskie, twarze okrągłe i podłużne — wszystko to są przynależytości polskiej dziewicy; a jakkolwiek wyglądać będzie „typ“ nagrodzony, z pewnością wywoła on więcej protestów, niż projekt Dykasa. Ja sam, gdybym był polską dziewicą i nie znalazł w odznaczonym wizerunku swoich rysów, wystąpiłbym z pretensyą, dowiódłszy naturalnie, że moi przodkowie pochodzili ze Starego Miasta w Warszawie (jest to chyba już dziś jedyny krążek kuli ziemskiej, z którego bezpiecznie legitymować się możemy), oraz, że przed ołtarzem Westalki stanąć mi wolno. Zresztą, niech tam sobie panowie rysownicy szukają wzorów, gdzie chcą, tylko na litość nie w portretach literatek polskich, odbitych w *Tygodniku powszechnym*. Brr! co to za straszna płeć piękna! Gdyby nie to, że wiele naszych niewiast piszących znam i wiem, iż tak nie wyglądają, myślałbym, że to grupa sabatowa z Łysej góry. Co za straszne twarze! Jeszcze staruszki udały się jako tako, ale młodsze! Córeczce mojej nie pokazałbym ich, bo by przez kilka nocy nie spała spokojnie. Zwłaszcza jedna i to akurat ta, którą bardzo cenię, patrzy tak, że wobec niej wróbel w zimie nie śmiałby dotknąć prosa, że chyba niemcy mniej groźnie wyobrażają sobie — Rogozińskiego.

Rzeczywiście, jest to dziś dla nich najstraszniejszy człowiek. Nie boją się francuzów, anglików, Gladstone'a, Ferrego, no, nikogo, tylko jeden Rogoziński przejmuje ich nieopisaną trwogą. To go widzą na czele hufców murzyńskich, to w Paryżu, to w Londynie, a zawsze pojawia się on przed nimi jako upiór. Niedawno *Berl. Börs. Courier* podał w dwu ciągach obszerny opis jego wyprawy. Drwi on ze „słynnego podróżnika“ boleśnie, łże na jego rachunek bezczelnie, ale z tych drwin i łgarstw przebija się ciągle jedno życzenie: gdyby ten Rogoziński przepadł, byłoby lepiej na świecie. Co to jest? Obawa kolonizacyjnych tchórzów, którzy stawiają pierwsze kroki osadnicze w Afryce i dla których każdy strach ma tak wielkie oczy, że dzięcioł wypukujący w drzewie robaki wydaje im się olbrzymim sępem, połykającym małpy.

* * *

Gdyby przeciw wyrokom natury można było założyć *veto*, zaprotestowałbym wraz z milionami przeciw śmierci czcigodnego starca, który jak Atlas ze światem na ramionach śród pagórków wznosił się potężny geniuszem i wielki zacnością między współczesnymi. W Paryżu kona Wiktor Hugo — kona olbrzym, kona człowiek, który przeszedł wszystkie boleści i wypłakał wszystkie łzy swego wieku, który mu przyświecał jak pierwszorzędna gwiazda i po którym cień szeroki okryje umysły a żałoba — serca. Rok 1885 osłoni się majestatem smutku, uderzy w dzwon pogrzebowy, którego echa długo nie umilkną.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jedna odpowiedź. — Towarzystwo ubezpieczeń od wypadków. — Komisya drogowa i pantoflowa poczta. — Nie śmiej się dziadku. — Z Czyhiryna.

„Jeden z dyrektorów cukrowni“ nadesłał do redakcyi *Prawdy* kilka uwag z powodu wzmianki uczynionej w nr. 18 o naradach cukrowników.

Niektóre z tych uwag, jak np. o ciągłych zachciankach obłożenia cłem różnych produktów z krzywdą dla ogółu a korzyścią dla własnej kieszeni — są zupełnie słuszne. Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami bezwzględnego protekcyonizmu, więc też i w danym wypadku wyraziliśmy warunkowo zdanie nasze o użyteczności opodatkowania nasienia buraków, sprowadzanego z zagranicy. Właściwie chodziło nam o co innego, o sprostowanie mylnego twierdzenia pp. cukrowników, że produkcya nasienia w kraju jest bardzo szczupłą i nieodpowiadającą wymaganiom. Ma ona u nas wszelkie widoki rozwoju, gdyby pp. cukrownicy zechcieli już nie wesprzeć, ale przynajmniej nie stawić jej przeszkód. Szanowny korespondent zna tylko jednego producenta nasienia, ja sam wiem o dwóch w jednej tylko gubernii kieleckiej, którzy próbowali uprawiać buraki nasienne na szerszą skalę. Ten obywatel, o którym wspomniałem, nietylko że nie mógł sprzedać większej partyi, ale nawet w trzech cukrowniach odmówiono mu wzięcia na próbę *darmo* po kilka funtów nasienia, w dwóch innych zgodzono się zrobić doświadczenie, ale o rezultacie nie zawiadomiono wcale. Otóż nie o cło chodziło nam głównie, lecz o ten oburzający stosunek cukrowników do producentów krajowych. Przekonany jestem, że nie wszyscy by tak postąpili, ale i ci, dajmy na to, nieliczni, wystarczą, żeby odstraszyć odważnych.

Nie twierdzę także, że wszyscy dyrektorowie biorą procenty od dostawców, ale muszę nazwać co najmniej naiwnem zdanie, że to nie praktykuje się wcale. Do zaprzeczenia potrzeba oprócz znajomości stosunków cukrowniczych posiadać jeszcze znajomość stosunków handlowych. Dlaczegoż by niektórzy pp. dyrektorowie nie mogli brać procentu od dostawców nasienia, kiedy nieraz biorą go, a nawet wymuszają prawie od dostawców oleju, lakieru itd.

Na zakończenie tej polemiki przytaczam charakterystyczny ustęp z listu: „Możemy p. N. zapewnić, że uważamy się również jak on za obywateli kraju i staramy się, o ile możności, popierać przemysł krajowy, na co możemy dać dowody.“

Ależ na litość — czy ja wątpiłem o tem? Owszem, chętnie przyznaję, że pp. cukrownicy popierają przemysł krajowy (cukrowniczy zwłaszcza). Nie rozumiem tylko tej łączności profesyonalnej, tej drażliwości fachowej, która obraża się za lada wzmiankę o ludziach tych samych zajęć. Gdyby podpis na liście nie objaśnił mię, że mam istotnie do czynienia z człowiekiem znanym chlubnie z działalności obywatelskiej, mógłbym sądzić, że powtarza się w danym wypadku przysłowie o nożycach.

Niedługo wypadnie chyba tylko pisać o ludziach, niemających żadnych zajęć, bo o takich nikt się już nie upomni. Dotychczas jedni literaci jeszcze wolni są od tego patryotyzmu profesyonalnego. Kiedy ktoś mówi o bezczelnej spekulacyi literackiej, albo o nieuctwie, albo o złej wierze piszących, żaden z nas nie weźmie przecie tego do siebie, bo każdy wie, że tu mowa o... „kamiennym“ i dosyć...

Wkrótce podobno rozpocznie działania swoje Towarzystwo ubezpieczeń dla pasażerów dróg żelaznych. Szkoda, że płacić będzie tylko za połamane kości i potłuczone członki; wypadki bowiem tego rodzaju rzadko zdarzają się u nas, częściej natomiast inne. W ciągu ostatnich dwóch tygodni trzej obywatele ziemscy okradzeni zostali w wagonach mniej więcej w podobny sposób. Jednego poczęstowali wódką dwaj młodzi ludzie, poczem zasnął i obudził się bez pieniędzy. Drugiemu dała papierosa ładna kobieta, na której łonie romansowy szlachcic zasnął również i obudził się bez pugilaresu. Trzeci wreszcie po prostu zdrzemnął się, ale obudził się w takiem samem położeniu, jak dwaj poprzedni. Kuryery podziwiają zuchwalstwo i spryt złodziejów, ja — safandulstwo okradzionych, których kieszeni żadne Towarzystwo ubezpieczyć nie zechce.

W Warszawie zasiada komisya złożona ze specyalistów inżenierów i przedstawicieli administracyi, która wypracować ma projekt urządzenia dróg bitych. Dla rozwoju przemysłu naszego i rolnictwa sprawa to niezmiernej wagi. Połowa skarg korespondentów prowincyonalnych dotyczy opłakanego stanu dróg dowozowych. Szczegóły narad komisyi nie są wcale znane prasie.

Dotychczas pomimo wybojów, połamanych mostków, pozrywanych grobel itp. ułatwień komunikacyjnych w wielu wypadkach drogi bite rywalizowały z kolejami nietylko pod względem taniości, ale i szybkości przewozu. Fakt ten, niezrozumiały dla francuza lub anglika, u nas posiada nawet kilka analogij. Oto np. między Brześciem i Warszawą kursuje poczta pantoflowa, która doręcza listy taniej, prędzej i pewniej, aniżeli odpowiednia instytucya, posiadająca cały zastęp urzędników, listonoszów itp. W Brześciu schwytano niedawno żydka, który wyprawiał do Warszawy cały transport listów, za co zapłacić musiał 230 rs. kary.

Może lepszy stan dróg wpłynie na większą znajomość geografii kraju. *Kuryer warszawski*, żartuje sobie z *Dziennika dla wszystkich*, z powodu wypadku z Lipowcem i w tym samym bodaj numerze przenosi Władysławów z gubernii suwalskiej do siedleckiej, mieszcząc tam również i Wil-

kowyszki, niewiadomo z jakiej racyi nazwane Wołkowyszkami.

W powiecie czyhiryńskim. który jeden z korespondentów każe nam nazywać czechryńskim, a który właściwie nazywać się powinien czyhryńskim, zabójstwa pomiędzy ludnością wiejską zdarzają się tak często, że duchowni z obawy odpowiedzialności nie chcą często chować nieboszczyków zmarłych śmiercią naturalną, dopóki nie otrzymają pozwolenia od władzy policyjnej lub sądowej, której zajęcia zwiększyły się przez to w dwójnasób. Ciekawą tę wiadomość notuję dla przyszłego historyka naszych czasów.

J. Nieborski.

Sosnowice. Większą część produktów spożywczych, nawet mleka sprowadzają mieszkańcy tutejsi z zagranicy, z Katowic lub Mysłowic.

Równo. Sąd wojenny kijowski zjechał tu umyślnie dla osądzenia sprawy o zaburzeniach antyżydowskich. Kilku oskarżonych skazano na lżejsze kary. Pisma, które donoszą, że jeden z winnych skazany został do ciężkich robót, nie dodają, że jest to izraelita, który zabił chrześcianina, okoliczność ta rzuca zupełnie inne światło na wyrok sądu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 maja.

Po niedawnej wrzawie nastąpiła w polityce zupełna cisza. Układy Anglii z Rosyą nie budzą żadnej ciekawości, ale i na tem polu duma brytańska odnosi ciągłe porażki. Pokolei Rosya odrzuca wszystkie propozycye angielskie, odmawia wszelkich zobowiązań na przyszłość, pozostawiając sobie swobodę działania. Nietylko nie chce złożyć oświadczenia, iż nie pójdzie do Heratu, ale zajmuje punkty strategiczne na drodze do tego „klucza Indyi.“ Zresztą teraz Herat nie jest już dla anglików kluczem, oświadczają oni, że wyrzekają się obrony Indyi za pomocą przymierza z Afganistanem i myśleć będą tylko o obwarowaniu granic. Dzienniki opozycyjne płaczą tymczasem nad „wdeptanym w błoto honorem Anglii,“ a ministeryalne dziwią się stopniowemu wzrostowi wymagań rosyjskich.

Jednocześnie prawie z odwołaniem Lumsdena generał Komarow otrzymał szablę honorową z napisem „za męstwo,“ ta sama nagroda spotkała również pułkownika Zakrzewskiego, który przywiózł sprawozdanie o bitwie nad Kuszkiem. Jest to wymowna odpowiedź na żądanie sądu nad Komarowem, odpowiedź dumna, wzgardliwa, upokorzonej Anglii.

Gladstone oświadczył, że po skończonej sesyi odsuwa się od życia parlamentarnego; dla honoru własnego i kraju szkoda, że nie uczynił tego wcześniej, ale dla uniknienia nowych błędów dobrze jeżeli chociaż teraz usunie się z widowni.

Skrajny odłam konserwatystów, radykalni i irlandczycy połączyli się, ażeby uniemożliwić lub przynajmniej utrudnić rządowi zatwierdzenie przez parlament przedłużenia praw wyjątkowych (Crimes-Act) dla Irlandyi.

Gazety francuskie żywo zajmują się świeżo uchwalonem przez Izbę deputowanych prawem o recydywistach, na mocy którego każdy przestępca karany poprzednio dwukrotnie więzieniem będzie deportowany. Los ten czeka nietylko zwykłych zbrodniarzy, ale nawet karanych czterokrotnie za żebractwo lub włóczęgostwo biedaków lub osoby skazane siedmiokrotnie bodaj za drobne przewinienia policyjne. Prasa radykalna niema dla nowego prawa dosyć słów oburzenia, jeden dziennik nazywa je haniebnem, drugi głupiem i potwornem, trzeci zbrodniczem itd. Najlepiej charakteryzuje uchwałę *Justice* organ Clemenceau, twierdząc, że łatwo wysłać za morze parę setek nieuleczalnych przestępców, ale przyczyny ich zbrodni — nędza i ciemnota pozostaną jednak we Francyi.

Senat zajął się obecnie rozpatrzeniem ustawy o wyborach z listy. Komisya Izby wyższej projektuje kilka zmian, z których najważniejszą jest, że dopiero ułamek liczący 20,000 po nad liczbę 70,000 ludności, z której wybierany jest poseł, daje prawo do wyboru dwóch deputowanych. Gdyby poprawka ta została przyjętą, proponowana cyfra 596 deputowanych zmniejszyłaby się do 559.

Wniosek Clovis Hugues'a o amnestyi dla więźniów politycznych został odrzucony przez Izbę. Po niedawnych ułaskawieniach tylko 18 osób tej kategoryi odsiaduje karę.

Ruch wyborczy ogarnął wszystkie prowincye Austryi. Najgorliwiej i najgłośniej krzątają się niemcy. Rząd popiera t. z. partyę środkową, przy pomocy której spodziewa się utrzymać równowagę parlamentarną. Lewica rozpadła się na dwa odłamy, jeden z nich wyraźnie wypowiada tendencye pangermańskie, drugi stoi na gruncie austryackim, zamierza porzucić bezwzględną opozycyę i nawet ustami wybitniejszych swoich przedstawicieli wygłasza konieczność uwzględnienia potrzeb narodowych innych ludów monarchii. Nie wiadomo, czy będzie chleb z tej mąki, a jeżeli będzie — to jaki, ale w najgorszym razie nie tak zapewne gorzki jak ten, który wypiekają dla swych przyjaciół-autonomistów p. Lienbacher, Lichtenstein i s-ka.

W rzędzie kandydatów partyi klerykalnej występuje p. Bach, ów sławny Bach, którego imię dla ludów słowiańskich a zwłaszcza dla Galicyi stało się synonimem najwstrętniejszego ucisku, podstępnej nikczemności i cynicznego gwałtu. Tego człowieka, który w ukryciu spożywał zasłużony chleb wzgardy i potępienia, któremu litość mogła w darze nieść chyba tylko zapomnienie, „sprzymierzeńcy nasi“ pp. autonomiści austryaccy wysuwają na plan pierwszy i zalecają wyborcom.

Sułtan Zanzibaru nieuznaje praw Towarzystwa kolonizacyjnego niemieckiego do nabytych we wschodniej Afryce ziemi wysłał wojsko, ażeby wypędzić niemców z zajętego przez nich terytoryum. Może więc i Niemcy poznają wreszcie rozkosze polityki kolonialnej.

Londyn. Burton i Cunningham oskarżeni o podpalenie i wysadzenie dynamitem gmachów rządowych, skazani zostali na dożywotnie ciężkie roboty.

Charków. Podczas dokonywania rewizyi niewiadomy z nazwiska człowiek mieszkający za fałszywym paszportem, wystrzałami z rewolweru zabił dozorcę policyjnego i ranił żandarma, pomimo tego jednak został aresztowany.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Egzamina. Z 72 uczniów przystępujących w r. b. do egzaminu w szkole realnej warszawskiej, odpadło po egzaminie piśmiennym 30.

Sekretarze sądów pokoju mają wkrótce zostać urzędnikami etatowymi.

Instytut technologiczny otwarty zostanie w połowie sierpnia w Charkowie.

Gimnazya żeńskie w Królestwie z początkiem przyszłego roku szkolnego otrzymają klasę siódmą.

Wdowa Schultze-Delitscha, inicyatora kas pożyczkowych, znajduje się w nędzy, niedawno ruchomości należące do niej wystawione zostały na licytacyę za długi.

Odkrycie Niejaki p. Dile znalazł w okolicach Elatei kamień pokryty greckimi i łacińskimi napisami; sądzi on, że to jest ten sam kamień, którym, „Chrystus w Kanie Galilejskiej dokazywał (?), jak powiada *Gaz. pol.* znanych cudów!“

Podwyższenia cła na wyroby żelazne sprowadzane z zagranicy weszło w wykonanie od 13 b. m. Podwyżka wynosi od żelaza w kawałach 50%, od maszyn 33%, od lokomobil 43%, od kos wreszcie 120% dotychczasowej opłaty.

Cenzura dzieł sztuki. Wszystkie obrazy i rzeźby, wystawione na widok publiczny, podlegać mają uprzedniej cenzurze ze strony władzy. Powód do tego rozporządzenia dał obraz Riepina *Iwan Groźny i jego syn*, którego „zbytni realizm historyczny,“ jak wyraża się *Ruskij Kurier*, dał powód do zgorszenia. Obraz z wystawy w Petersburgu rozkazano niezwłocznie usunąć.

Rewizya planów naukowych dla szkół ludowych. Galicyjska rada szkolna krajowa wybrała na wezwanie rządu komisyę, która ma: 1) ułożyć dokładną normę co do programu nauki półdziennej; 2) co do utworzenia nowych szkół filialnych; 3) przedsięwziąć rewizyę planu naukowego dla szkół ludowych w ogólności a w szczególności dla szkół wydziałowych, które w przyszłości będą istnieć samodzielnie i mają mieć cechę przemysłową lub rolniczą stosownie do okręgu, w którym będą się znajdować.

Praca komisyi ma być spiesznie ukończoną tak, ażeby plany, po uzyskaniu zatwierdzenia ze strony ministerstwa oświaty, mogły już wejść w życie z dniem 1 września b. r.

Prasa. *Prawit. Wiestnik* zawiadamia o ostatecznem ustaniu wydawnictwa 6 pism polskich: Ekonomisty, Nowin, Nowych mód paryskich, Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego, Świata i Echa.

Przekłady. *Ulana* Kraszewskiego przetłomaczona została na język hiszpański, *Uskoki* Jeża na nowogrecki.

— *Journal de Geneve* zaczął drukować w tłomaczeniu powieść Jeża *Szandor Kowacz.*

Bibliografia polska. Skwarczyński P. dr. *Zbiór ustaw* i najważniejszych rozporządzeń w sprawie szkolnictwa ludowego, Lwów.

— *Sprawozdanie* czwarte zarządu czytelni ludowych, rok 1884, Poznań.

— Stanecki T. dr. *Spostrzeżenia fenologiczne*, Lwów.

— Starkel J. *Bartłomiej Osnowa*, czyli jak sobie radzili tkacze w Komarowie (wyd. *Macierzy pol.*), Lwów.

— Starkel Rom. *Nauka prowadzenia ksiąg* i korespondencyi przemysłowej, oraz ekspedycyi telegraficznej, pocztowej i kolejowej itd., Lwów.

— Widmann K. *Franciszek Smolka*, jego życie i zawód publiczny, zesz. 3, Lwów.

— Wilczyński A. *Nowe fotografie społeczne* I, II, Lwów.

— Witwicki Stefan. *Wieczory pielgrzyma*, rozmaitości moralne, literackie i polityczne, Lwów.

— Wójcicki J. *Mapa poglądowa Królestwa Polskiego*, wyd. staraniem S. Szafarkiewicza, Warszawa.

— Żarewicz L. *Lanckorona*, monografia histor., Kraków.

— Żuławski K. dr. *Sprawozdanie naukowe* o ruchu chorych w oddziale dla obłąkanych w Krakowie w r. 1883, Kraków.

— Tomek Piast, *Czytelnia ludowa.* Co ludzie wiejscy czytać powinni, czyli poradnik książkowy, Warszawa.

— Książeczki dziesięciogroszowe. Walerya Marrene-Morzkowska, *Smutna swadźba*, Warszawa.

— Eliza Orzeszkowa. *Kramarz*, Warszawa.

Stempel dziennikarski. Według sprawozdania urzędu stemplowego sprzedano w r. 1884 w Galicyi 3,144,554 egz. dzienników krajowych a 164,632 egz. zagranicznych, i 118,999 kalendarzów. Należy nie zapominać, że Galicya ma 6 milionów mieszkańców.

Gabryel Max wymalował nowy obraz, zgadzający się z rodzajem jego talentu. Obraz przedstawia mianowicie *Katarzynę Emerich* zakonnicę z klasztoru Augustynek w Dühren, która miała posiadać stygmaty podobne jak św. Franciszek z Assyżu.

Zmowa. Krawcy paryscy urządzili wielkie bezrobocie. Wszystkie prawie sklepy z ubraniem właściciele zmuszeni byli zamknąć.

Firma Hartlebena we Wiedniu wydała kartę Afganistanu i krajów sąsiednich, opracowaną przez G. Freitaga w skali 1:2,100,000 a sięgającą na północ do Merwu zaś na południe do Kelatu. Zdaje się, że na razie już nie wielu znajdzie nabywców.

Wykopaliska. W Kartaginie odkopano staropunickie groby, garnki, wazony etruskie, napis łaciński i wodociąg łazienny, przeprowadzony pod ziemią.

— Na Szląsku pruskim we wsi Smolicach, o $1\frac{1}{2}$ mili od Nissy, wyorał pewien włościanin cały skarb średniowiecznych monet polskich, zawierający wagi srebra około 2 funty, a 1903 sztuk. Skarb ten dostał się do rąk numizmatyka hr. St. Walewskiego, który rozpatrzywszy go umiejętnie nadesłał do Krakowa szczegółowy opis. Wykopalisko zawiera przeważnie denary Władysława II (1485 sztuk) i Bolesława Krzywoustego, dalej jedną monetkę Władysława Hermana i 18 sztuk denarów t. z. wendyjskich. Dla nauki nie przyniósł ten skarb wprawdzie żadnego nowego nieznanego typu, natomiast odmian stemplowych nieznanych dotąd bardzo wiele.

Flota handlowa austryacka składa się według tegor. sprawozdania ministerstwa handlu z 8,707 okrętów o objętości 253,527 ton i z załogi liczącej 26,948 ludzi; węgierska połowa monarchii ma nadto swoich 499 okrętów o objętości 70,931 ton ze załogą liczącą 2305 ludzi.

Szachy. Cukiertort, znany szachista grał jednocześnie w Berlinie z 35 przeciwnikami, i wygrał pomimo to dwadzieścia kilka partyj.

Samobójstwa. W Monaco w r. b. pięćdziesiąty z kolei gracz nieszczęśliwy odebrał sobie życie.

Zmarli. Mikołaj Kawelin uczony prawnik i historyk rosyjski.

— Dr. Fryderyk Henle, prof. uniwersytetu w Getyndze, znakomity anatom.

— Diomed Pantaleoni senator, z profesyi lekarz odznaczył się jednak jako uczony historyk.

— Fr. Szimaczek, publicysta czeski, redaktor tygodnika *Svetozor*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

W. K. Jeżeli apteka Sch., która głosi, że sprzedaje lekarstwa po zniżonej cenie, za $\frac{1}{2}$ grana ezeryny żądała rs. 1 k. 20, kiedy gdzieindziej cały gran kosztuje rs. 1 k. 73, i jeżeli ona z innymi tak postępuje—to bezwątpienia gra niesumiennie.

W. R. Ale w liście nie ma żadnego adresu.

St. P. w Szarogrodzie. Nazwisko istotne: Rzążewski.

A. M. w Tobolsku. Nasz abonent tego nazwiska odbiera *Prawdę* przez st. *Gorbiczewską, Zabajk. Obł. w Kudeczu.*

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Sochacki z Żytomierza rs. 2 kop. 50.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Мая 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.